SYDELL VOELLER

PODSZEPTY SERCA

Tytuł oryginału *CARELESS WHISPERS*

ROZDZIAŁ 1

Danny! - wołałam gorączkowo. - Danny! Gdzie jesteś!

Zaledwie od kilku godzin pracowałam jako pomocnik wychowawcy na obozie letnim w Radosnej Polanie, a już byłam kłębkiem nerwów.

Serce waliło mi jak młotem, gdy biegłam ścieżką wijącą się pośród gęstego lasu otaczającego obóz. Dlaczego spuściłam Danny'ego Tysona z oczu? Dlaczego nie zauważyłam niczego podejrzanego w jego zachowaniu? Danny sprawiał mi kłopoty od chwili, gdy z grupą ośmiolatków wyruszyłam na wyprawę odkrywczą „Poznaj przyrodę". A teraz na dodatek zniknął.

Przed oczami ciągle jeszcze miałam gniewnie zmarszczone czoło pana Carsona, gdy mu mówiłam o zniknięciu Danny'ego. Kierownik obozu ostro i stanowczo dał mi do zrozumienia, że jeśli nie znajdę szybko tego łobuziaka - w myślach nazywałam go Diabelnym Dannym - to mój pierwszy dzień pracy będzie zarazem ostatnim.

Weszłam głębiej w las, chociaż splątane pędy jeżyn drapały mnie w nagie ramiona i nogi.

- Danny! Odezwij się! - zawołałam. Odpowiedziała mi cisza.

Przedarłszy się przez chaszcze, wyszłam na polankę pokrytą wysuszonym igliwiem. Lipcowe słońce mocno paliło; powietrze było tak gorące, że dostrzegało się jego rozedrgane smugi. Przeskoczyłam nad zwalonym pniem i ruszyłam ścieżką, ledwo widoczną między chaszczami i wybujałymi krzewami. Dróżka zawiodła mnie na brzeg strumienia ocienionego drzewami i kiedy tam dotarłam, uważnie obejrzałam drugi brzeg, a potem przebiegłam wzrokiem teren w dół i w górę nurtu.

- Danny! Odpowiedz, jeśli mnie słyszysz!

Nadal nic. Wtem przeraziła mnie inna myśl. A jeśli ten potwór wpadł do strumienia? Nie było tam wprawdzie głęboko, ale jeżeli dzieciak potknął się na brzegu i uderzył głową o kamień, to z łatwością mógł się utopić.

Brnęłam przez krzaki, sięgające mi do ramion. Szłam na

wschód z nadzieją, że Danny nie tkwi siny i martwy gdzieś pod wodą. Zmarzłam, bo grząski muł sięgał mi aż po łydki. Trafiłam na podmokły teren. Moje nowe buty były straszliwie brudne, ale tym akurat martwiłam się najmniej.

Już miałam poddać się w rozpaczy, kiedy nagle zauważyłam drobną postać, skuloną za kępą trzcin. Jasne włosy, czerwony podkoszulek, czarne szorty... To musi być Danny! Nogi aż się pode mną ugięły z radości. Tylko co on, u licha, tu robi?

Dopadłam go jednym susem.

- Danny! - zawołałam, pochylając się nad skuloną postacią. - Bogu dzięki, że nic ci się nie stało!

Chłopczyk ani drgnął, nawet nie podniósł głowy.

- Cicho, Tralain! Bo mi wystraszysz robala - wyszeptał i dalej z napięciem wpatrywał się w jakiegoś skorupiaka, a na jego piegowatej buzi malowało się wielkie zainteresowanie.

- Nie wystraszyć twojego robala! - zawołałam. - Czy ty masz pojęcie, jak okropnie mnie przeraziłeś? Zniknąłeś prawie godzinę temu!

Cicho jak kot Danny skoczył na równe nogi i zaszedł mnie od tyłu. Poczułam, jak po plecach pod koszulką zjeżdża mi coś lodowatego.

- Auu! - wrzasnęłam. Gorączkowym ruchem wyciągnęłam koszulę z szortów. Zachwycony Danny zaniósł się śmiechem, a skorupiak spadł do wody i ukrył się w trzcinach.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza, policzyłam w myślach do dziesięciu, a potem jeszcze raz. Kiedy uspokoiłam się na tyle, by się odezwać, zwróciłam się do chłopca:

- Danny, dlaczego uciekłeś? Nie pamiętasz pierwszej zasady życia obozowego? „Nie wolno oddalać się samemu”.

- Wyprawa odkrywcza była nudna. Nie miałem ochoty szukać jakichś głupich, starych szyszek - narzekał.

Bez słowa złapałam go mocno za rękę i ruszyliśmy do obozu. Po drodze sama się sobie dziwiłam, że jeszcze parę tygodni temu nie mogłam się doczekać lata. Wiedziałam, że nie spędzę wakacji na cudownej swobodzie, bo będę musiała pracować, ale miałam

nadzieję na przynajmniej odrobinę dobrej zabawy. Razem z moją najlepszą przyjaciółką, Brendą Thompson, co roku przyjeżdżałyśmy na obóz i skakałyśmy z radości, kiedy nas przyjęto do pracy jako pomocników opiekunów grup. Ale jeśli cały miesiąc ma wyglądać tak jak dzisiejszy dzień, zrezygnuję, bo sytuacja mnie przerośnie.

Moje wątpliwości mnożyły się niczym mrówki na pikniku. W ubiegłym roku jako wolontariuszka pomagałam na basenie uczyć maluchy pływania. W porównaniu z obozem tamta praca to była bułka z masłem, istny pryszcz. Na dodatek przy basenie kręciło się wielu przystojnych chłopców, z którymi spędzałam wolny czas. Tak właśnie poznałam B.J. Richardsa, z którym czasem umawiałam się na randki. Ale tutaj nie zapowiadało się na żadne dodatkowe przyjemności tego rodzaju, tylko same koszmary, jak Diabelny Danny.

- Należy przestrzegać zasad życia obozowego - przypomniałam mu, kiedy wyszliśmy z lasu na otwartą przestrzeń. - Chcę, żebyś mi obiecał, że więcej nigdzie nie pójdziesz sam.

- Dobra, już dobra - odparł Danny, marszcząc brwi, ale w jego głosie zabrakło szczerej nuty.

Właśnie podchodziliśmy do głównego budynku, mieszczącego się na rozległej polanie. Obok niego stały drewniane chatki - przed każdą ułożono kamienne koła, w których rozpalano ogniska. Od razu zauważyłam resztę mojej grupy. Chłopcy wybrali dla siebie bardzo odpowiednią nazwę: Gwiezdni Wojownicy. Dwóch z nich, Joey i Matt, wyrywali grube źdźbła trawy i ciskali je niczym strzały na Freda, Tommy'ego i Marka. David i Nathan jak zwykle o coś się kłócili, Alfred zaś wdrapał się na klon obok głównego budynku i wydawał przeraźliwe okrzyki, udając Tarzana.

- Alfredzie, natychmiast zejdź z drzewa! - Pan Carson zmarszczył brwi. Wyglądał na wykończonego. Przejął opiekę nad Gwiezdnymi Wojownikami, gdy razem z dużą grupą opiekunów i pomocników ruszyłam na poszukiwanie Danny'ego.

- Dobra wiadomość! - zawołałam do kierownika. - Znalazłam

go!

Brenda, słysząc mój głos, wystawiła głowę z jednej z chatek, gdzie prowadziła zajęcia plastyczno - techniczne z grupą dziesięciolatek. Uniosła palce ułożone w kształcie litery V na znak zwycięstwa i natychmiast schowała się w środku.

- Świetnie, Tralain - powiedział pan Carson zmęczonym głosem. - Już miałem dzwonić do szeryfa. - Po czym zwrócił się do pielęgniarki, która wyszła na werandę przed budynkiem. - Irene, Danny się znalazł. Czy mogłabyś uderzyć w dzwon, żeby dać wszystkim znać o zakończeniu poszukiwań?

Gdy pielęgniarka pośpieszyła wykonać polecenie, pan Carson odwrócił się do Danny'ego i stanowczym ruchem położył mu dłoń na ramieniu.

- A wracając do ciebie, młody człowieku, to idziesz do kozy. Siadaj na ławce obok dużego zlewu i masz tam zostać przez dwadzieścia minut. Irene będzie miała na ciebie oko, więc nawet nie próbuj się wymknąć!

Danny, uniósłszy hardo podbródek, pomaszerował do wnętrza budynku.

- Przepraszam, że tak na ciebie napadłem, Tralain. - Pan Carson westchnął. - Nic tu nie zawiniłaś. W tym roku mamy mniej opiekunów, więc dla twojej grupy zabrakło dorosłego wychowawcy. Będzie ci trudno utrzymać w ryzach Gwiezdnych Wojowników. Jak myślisz? Poradzisz sobie z nimi?

Zmusiłam się do uśmiechu i starałam się wyglądać jak osoba tryskająca pewnością siebie, chociaż wcale się tak nie czułam.

- Pójdzie mi jak z płatka, proszę pana - odparłam. - Pracowałam już z dzieciakami. Minie trochę czasu, nim do mnie przywykną, ale na pewno sobie poradzę.

- Dzielna dziewczyna! No to do dzieła, a gdybyś potrzebowała pomocy, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Przez resztę popołudnia moja grupa miała robić kramiki w warsztacie stolarskim. Tak przynajmniej było zaplanowane, rzeczywistość wyglądała zgoła inaczej. Joel ciągle walił się młotkiem w kciuk i zalewał łzami. Nathan i David kłócili się, na

kogo wypada kolej piłowania. Reszta rozrabiała na potęgę, a Danny, wypuszczony z kozy, w ogóle odmówił współpracy.

Wydawało mi się, że minął wiek, nim wreszcie rozległ się dzwon wzywający dzieciaki na wspólne popołudniowe śpiewanie, po którym opuszczano flagę i maluchy zbierały się do domów. Wszyscy uczestnicy, około pięćdziesięciu dziewcząt i chłopców, ustawili się kołem wokół masztu, a pomocnicy rozpoczęli pierwszą piosenkę. Stojąc obok Brendy, widziałam morze szczęśliwych, pobrudzonych buziaków. Twarz Danny'ego była zdecydowanie najbrudniejsza, choć z pewnością nie najszczęśliwsza. Wcale się nie zdziwiłam, gdy odmówił przyłączenia się do śpiewu. Już zdążyłam się nauczyć, że Danny rzadko spełnia oczekiwania innych, nie mówiąc o wykonywaniu poleceń. Co za pech! Dlaczego akurat ja mam z nim wytrzymać przez cały miesiąc!

Po skończeniu ostatniej piosenki nadszedł czas na opuszczenie flagi. Rodzice i starsze rodzeństwo, którzy przyjechali odebrać uczestników obozu, czekali w pełnej szacunku ciszy, aż flaga zostanie starannie złożona i schowana.

Wróciłam do mojej grupy, pamiętając o zaleceniu pana Carsona, żeby zostać z nimi do momentu odebrania ostatniego dziecka. Czekając, postanowiłam umyć ubłocone buty pod kranem obok głównego budynku. Zdjęłam sandał i zimna woda z węża oblewała moje nabrzmiałe z gorąca, obolałe stopy. Powiał chłodny wiatr, ożywczy podmuch miło pieścił twarz, przynosząc lekką, słodko - kwaśną woń roślin. Wzdychając ciężko, pomyślałam: Cóż to był za dzień!

- Przepraszam... - usłyszałam za sobą niski, głęboki głos.

Odwróciłam się i spojrzałam w piękne, jakby zadumane oczy o rzadko spotykanej barwie przydymionego błękitu. Przede mną stał wyjątkowo przystojny chłopak. Miał włosy w kolorze słomy i uśmiechał się do mnie.

- Cześć, jestem bratem Danny'ego Tysona - powiedział.

- Może wiesz, gdzie jest jego opiekun?

- To chyba ja - odpowiedziałam z uśmiechem. I kto by

pomyślał, że Danny ma takiego boskiego brata! - Właściwie nie zostałam przyjęta na stanowisko opiekuna, tylko pomocnika, ale odpowiadam za grupę Danny'ego - wyjaśniłam.

- Nazywam się Tralain Martinson.

- Tralain - powtórzył. - Jakie oryginalne imię. Podoba mi się.

- Dzięki. - Poczułam, że się czerwienię.

- Nazywam się Scott. - Podał mi rękę, jego uścisk był ciepły i mocny. - Przyjechałem dziś po Danny'ego, bo mama się nie wyrobiła. Pracuje w biurze sprzedaży nieruchomości i musiała się spotkać z nowym klientem.

Scott wypuścił moją dłoń i kiedy gorączkowo wkładałam buty, oparł się o pień drzewa i zaplótł ręce na piersiach.

- Pan Carson powiedział mi, że Danny dziś narozrabiał - odezwał się.

- I to jak! - przytaknęłam. - Opuścił obóz bez pozwolenia, szukaliśmy go ponad godzinę. Odszedł daleko, aż nad strumień, prawie dwie mile stąd. Ależ mi strachu napędził!

- Fatalnie. - Scott westchnął. - Bardzo niedobrze. Będę musiał porozmawiać o tym z manią. - Urwał i zamyślił się na chwilę. - Proszę cię, okaż Danny'emu trochę cierpliwości. Nigdy nie sprawiał kłopotów, dopiero ostatnio zrobił się niemożliwy. Nasi rodzice rozwiedli się w zeszłym roku i ciężko to znosi.

- Tak mi przykro - powiedziałam cicho. - Gdybym wiedziała, nie potraktowałabym go tak ostro. - Zawstydziłam się tych okropnych myśli na temat małego i postanowiłam, że od tej pory z mojej strony może oczekiwać na więcej zrozumienia.

W tym momencie podbiegł do nas Danny.

- Cześć, Scott! - zawołał wesoło. - Zgadnij, co się stało.

- Co takiego, Tygrysku? - Brat uśmiechnął się do niego szeroko.

- Znalazłem dziś w strumieniu robala. - Wyglądał słodko i niewinnie, a przecież to właśnie ten jasnowłosy amorek wrzucił mi właśnie wspomnianego potwora za koszulę!

Scott potargał włosy brata czułym gestem.

- Wspaniale, ale założę się, że nie był tak wielki, jak homar,

którego ci pokazałem na plaży.

Ruszyliśmy we trójkę w stronę parkingu, mieszczącego się po drugiej stronie polany. Opowiadałam o zajęciach, które zaplanowałam dla Gwiezdnych Wojowników. Nie wiedziałam, czy to w ogóle obchodzi Scotta, ale przynajmniej mieliśmy temat do rozmowy. Kiedy mijaliśmy innych pomocników, dziewczęta i chłopcy z mojego liceum mierzyli nas zdziwionymi spojrzeniami.

Kiedy przerwałam na zaczerpnięcie oddechu, Scott popatrzył na mnie, a w jego niebieskich oczach błysnęło rozbawienie. Pewnie myśli, że cierpię na słowotok, pomyślałam, ale jeśli nawet tak uważa, jest zbyt dobrze wychowany, by to powiedzieć głośno.

- Założę się, że nosisz szkła kontaktowe - rzucił.

- Tak. - Zaskoczył mnie zmianą tematu. - Jak się tego domyśliłeś?

- To łatwe. - Wzruszył ramionami. - Oczy błyszczą ci bardziej niż innym.

Szliśmy już przez parking i Danny pobiegł w kierunku niebieskiego sedana, machając do kolegi, który właśnie odjeżdżał.

- Powiedz mi, Tralain, jakim cudem trafiłaś do tej pracy?

- Z moją przyjaciółką Brendą od lat przyjeżdżałyśmy tu jako dzieci, a teraz, gdy dorosłyśmy i nadajemy się na pomocników, postanowiłyśmy spróbować - wyjaśniłam. - Zeszłego lata pomagałam w miejscowym kompleksie basenów Delfin. Uwielbiam pływanie i tenis.

- Wiem - powiedział Scott.

- Skąd? - spytałam zdumiona.

- Widziałem, jak grasz ze swoim chłopakiem na szkolnych kortach.

Jego uwaga przypomniała mi, że lada chwila pojawi się B.J., żeby mnie odwieźć do domu. Miałam nadzieję, że widząc mnie ze Scottem, nie wpadnie na jakiś głupi pomysł - B.J. był upiornie zazdrosny. Czasem mi to sprawiało przyjemność, ale częściej irytowała mnie ta jego zaborczość.

- Ja też pracuję - rzucił Scott. - Załapałem się do Wodnego Świata w Seaside. Mieszkałem tam do zeszłego roku. Ostatnio

przeprowadziliśmy się z mamą do Forest Grove, więc dojeżdżam do pracy na soboty i niedziele.

- Co robisz w Wodnym Świecie? - spytałam.

- Wszystko co trzeba. Karmię foki, daję im witaminy, odpowiadam na pytania zwiedzających... - Spojrzał w rozmarzeniu na dalekie wzgórza. - Fajnie tutaj, wśród lasów - dodał - ale wolę wybrzeże. Kiedy mieszkaliśmy w Seaside, w letnie noce rozpalałem z rodzicami ognisko na plaży. Było super.

Chciałam go zapytać o rodzinę, kiedy zobaczyłam samochód B.J., wjeżdżający na parking.

- Muszę uciekać - rzuciłam. - Jest moja bryka. Miło było cię poznać, Scott.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Wyciągnął rękę i lekko dotknął mojego ramienia. - Chyba będziemy się często widywać.

I gdy biegłam przez parking do samochodu B.J., w głębi duszy miałam nadzieję, że tak się właśnie stanie.

ROZDZIAŁ 2

Samochód B.J. podskakiwał na piaszczystej drodze, pociętej głębokimi koleinami, wiodącej z obozu do miasteczka. Wzbijał obłok kurzu, który natychmiast osiadał grubą warstwą na nowym brązowym lakierze. Kiedy dojechaliśmy do płynącej na północ odnogi rzeki, B.J. wrzucił niższy bieg i zwolnił tak bardzo, że praktycznie wczołgaliśmy się na chybocący mostek. Deski pod nami zagrzechotały, jeszcze głośniej zadzwoniły moje zęby.

- Rany, ta droga wykończy mi bryczkę - narzekał B.J. - I wcale mnie nie bawi perspektywa mycia jej co wieczór.

Zerknęłam na jego wykrzywioną ze złości twarz i westchnęłam.

- Przecież cię nie prosiłam, żebyś po mnie przyjeżdżał - przypomniałam. - Sam chciałeś.

B.J. nie odpowiedział. Z ponurym wyrazem twarzy jeszcze bardziej pochylił się nad kierownicą.

Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie widujemy się za często. Chyba wygasały między nami romantyczne uczucia, a może on po prostu zaczął mnie nudzić? Był miłym, przystojnym chłopcem i w zeszłym roku myślałam, że skonam ze szczęścia, kiedy zaczął się ze mną umawiać. Moi rodzice też byli zadowoleni. O takim facecie jak B.J. każda matka i ojciec skrycie marzą dla swojej córki: odpowiedzialny, solidny, piątkowy uczeń, przewodniczący klasy. Chodziliśmy ze sobą już od roku, rodzice nadal byli zachwyceni, ja trochę mniej. A na dodatek źle znosiłam napady zazdrości B.J.

Jego milczenie zaczęło mnie złościć.

- Coś się stało? - spytałam. - Co cię gnębi?

Może jest zły, bo widział, jak rozmawiałam ze Scottem, pomyślałam.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Przepraszam, Tralain. Chyba po prostu jestem zmęczony. Orałem dziś jak niewolnik.

B J. pracował u ojca, przedsiębiorcy budowlanego w Forest

Grove.

- I jeszcze nie skończyłem. Jak cię odwiozę, muszę podrzucić klientowi ojca jakieś rysunki, więc nie będę mógł zostać.

- Szkoda - powiedziałam nieszczerze, bo wcale nie żałowałam. Nie zaczęłam też głośno narzekać, jak bym to zrobiła jeszcze parę miesięcy temu.

Tato pracował do późna w firmie ubezpieczeniowej, więc zrobiłyśmy sobie z mamą naszą ulubioną, szybką kolację: taco i sałatę. W czasie posiłku i podczas zmywania talerzy opowiedziałam szczegółowo o pierwszym dniu pracy. Mama to moja najlepsza przyjaciółka. Jest nauczycielką i dzięki temu ma zawsze długie wakacje. Ludzie często mówią, że jesteśmy do siebie podobne, obie mamy niemal czarne oczy i kasztanowate włosy, chociaż mama obcina się krótko i robi trwałą, a ja noszę długie i proste, z jaśniejszymi pasemkami spłowiałymi od słońca. Jesteśmy tego samego wzrostu: metr siedemdziesiąt.

Kiedy pozmywałam i powycierałam talerze, poszłam do swojego pokoju i usiadłam przy biurku. Czas, żeby zadzwonić do rodziców Gwiezdnych Wojowników. To był jeden z moich obowiązków. Pierwszego dnia obozu powinnam skontaktować się z rodzicami moich podopiecznych i opowiedzieć im, co dzieci będą robiły w ciągu całego turnusu. Sporządzenie listy obozowego programu nie zajęło mi dużo czasu i już miałam telefonować do rodziców Matta, gdy zadzwonił aparat na moim biurku.

- Cześć Tralain, tu Bren - usłyszałam głos mojej przyjaciółki. - Rany, ale dzień, co? Już doszłaś do siebie po zniknięciu Diabelnego Danny'ego? A może powinnam zapytać: czy doszłaś do siebie po jego odnalezieniu? - dodała z naciskiem.

- Och, Danny nie jest taki najgorszy. - Roześmiałam się. - Ale przyznam, że z rozkoszą zamieniłabym moich Gwiezdnych Wojowników na twoje dziewczynki.

- W żadnym razie! - oświadczyła Brenda stanowczo. - Ta banda łobuziaków to twoje królestwo. A skoro już mówimy o Dannym, to widziałam, że rozmawiałaś z jego bratem, Scottem.

- Znasz go? - spytałam zdziwiona.

- Właściwie to tylko z widzenia. W zeszłym semestrze chodziliśmy razem na zoologię. Chyba niedawno sprowadził się do miasta. W przyszłym roku kończy szkołę.

- Jakie to dziwne! Zupełnie nie zwróciłam na niego uwagi, zauważyłam go dopiero dzisiaj. Naprawdę chodzi do Forest High? Jeśli jest tylko rok od nas starszy, to dlaczego nigdy nie widziałam go w szkole? Jest ekstra: przystojny, miły i tak dalej, a na takich mam oko. Co jeszcze o nim wiesz?

Okazało się, że jak na kogoś, kto właściwie zna Scotta tylko z widzenia, Brenda zgromadziła zadziwiająco dużo informacji.

- Z tego, co słyszałam, wynika, że mało się udziela towarzysko, czytaj: od wszystkich trzyma się z daleka. Ludzie mówią, że jego rodzice są wyjątkowo nadziani. Rozwiedli się, a Scott z Dannym i matką mieszkają w wielkim, nowoczesnym domu za miastem. Ale tylko Norris Miller tam był. To chyba jedyny kolega Scotta i, moim zdaniem, obaj mają nie po kolei pod sufitem.

- Dlaczego?

- Ilu znasz chłopaków zakochanych na zabój w oceanografii? - spytała Brenda. - Ja nie mówię, że oni się tym interesują, oni normalnie oszaleli na tym punkcie. Żebyś ty usłyszała referat, który napisali w zeszłym roku! O wpływie przybrzeżnych wycieków ropy naftowej na ptactwo wodne! Musieli się przy nim nieźle naharować!

- Co w tym dziwnego? Nie znam Norrisa, ale Scott mi opowiadał, jak lubi swoją pracę w Wodnym Świecie w Seaside. Wcale się nie dziwię, że się pasjonuje morzem. Moim zdaniem jest strasznie miły. I zabójczo przystojny.

- Owszem, zabójczy jest - przyznała Brenda. - Ale znasz to powiedzenie: „Nie sądź owcy po wełnie”. Na twoim miejscu trzymałabym się od niego z daleka.

- Dlaczego? - spytałam, unosząc brwi. - O czym ty mówisz?

Po drugiej stronie na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- No wiesz... - w końcu odezwała się Brenda. - Nie chcę plotkować, ale... trochę o nim słyszałam. Parę osób mówiło, że

czasem dziwnie się zachowuje. To wystarczyło, żeby ludzie nabrali podejrzeń.

- Jakich podejrzeń? Bren, daj spokój z tymi aluzjami i wal prosto z mostu - rzuciłam zniecierpliwiona.

- No, dobrze. Jennifer Riley powiedziała mi, że ostatnio Scotta zgarnęły gliny. Znaleźli go kręcącego się po placu przy Dawaj Czadu, wiesz, tym barze w szemranej dzielnicy. Podobno był tam nie po raz pierwszy. Krąży plotka, że ćpa.

Niemal upuściłam słuchawkę.

- Bren! Daj spokój! Naprawdę w to wierzysz? Kiedy dziś z nim rozmawiałam, wyglądał zupełnie normalnie!

- Nie twierdzę, że w to wierzę - zaprotestowała Brenda.

- Tylko ci powtórzyłam, co słyszałam. - Zawahała się.

- Chyba się w nim nie zabujałaś, co? - dorzuciła po chwili.

- Oczywiście, że nie. Zejdź na ziemię, Bren! Dzisiaj spotkałam Scotta pierwszy raz w życiu! Zupełnie, jakbym słyszała B.J.! Wystarczy, że spojrzę na innego faceta, robi scenę na czternaście fajerek. - I zerkając na listę, dodałam:

- Muszę kończyć. Jeszcze powinnam zadzwonić do rodziców moich Wojowników, a chcę się wcześniej położyć. Jestem zupełnie wykończona.

- Ja też - przyznała Brenda. - Nie zapomnij, że jutro o dziewiątej mamy spotkanie grupy pomocników. Wpadnę po ciebie za kwadrans dziewiąta, dobrze?

- Świetnie, to do zobaczenia.

Odkładając słuchawkę, nadal myślałam nad słowami Brendy. Scott Tyson ćpunem? Niemożliwe! Chociaż ledwo go znałam, czułam, że musi być jakieś inne wyjaśnienie krążących o nim plotek.

Potrząsnęłam głową i zaczęłam dzwonić do rodziców. Pani Tyson była ostatnia na mojej liście. W głębi ducha miałam nadzieję, że telefon odbierze Scott. Nie, to nie dlatego, że się w nim zakochałam, jak sugerowała Brenda. Ale skoro ludzie rozpuszczają o nim wredne plotki, to może przyda mu się jeszcze jeden przyjaciel poza Norrisem Millerem.

Po wykręceniu numeru domu Tysonów odczekałam dziesięć sygnałów, ale nikt nie podniósł słuchawki. Jutro skontaktuję się z mamą Danny'ego, postanowiłam. A teraz zimny prysznic i marsz do łóżka.

Usnęłam, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki, ale dręczyły mnie dziwaczne koszmary. Zapamiętałam jeden: byłam w środku Dawaj Czadu i kupowałam colę od B.J. Stał za ladą, ubrany w smoking, a do klapy przypiął sobie wielką plakietkę. Napis na niej głosił: „Cześć! Nazywam się Niezawodny". Właśnie podawał mi szklankę, gdy obok pojawił się Scott. Popatrzył mi głęboko w oczy tymi przydymionymi, błękitnymi źrenicami i powiedział: „Tralain. Piękne imię dla pięknej dziewczyny". Jego głos brzmiał głęboko i melodyjnie, przypomniał solo na wiolonczeli, które słyszałam na zeszłorocznym koncercie orkiestry miejskiej.

Nim zdołałam odpowiedzieć, do pomieszczenia wpadło dwóch dziwacznie wyglądających policjantów. Mieli wielkie, gęste wąsy i okrągłe hełmy, zupełnie jak żandarmi ze starego niemego filmu. Jeden z nich zakuł Scotta w parę gigantycznych kajdanków.

- Mamy nakaz aresztowania - zapiszczał falsetem.

- Prokurator oskarża cię, że jesteś czubkiem z innej planety! Policjanci zaczęli wyciągać Scotta z lokalu. Chciałam biec za nimi, ale stopy ugrzęzły mi w gęstym, lepkim mule i nie mogłam się ruszyć.

- Nie! - zawołałam. - Nie!

Krzyczałam tak głośno, że się obudziłam. Promienie słońca zalewały pokój i kiedy mrużąc zaspane oczy spojrzałam na zegarek przy łóżku, zobaczyłam, że jest ósma czterdzieści. Jęknęłam. Wspaniale, widać zapomniałam nastawić budzik.

Właśnie wyczołgałam się z łóżka, gdy usłyszałam klakson. Podbiegłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Przy krawężniku stał samochód Brendy.

- Bren! - zawołałam. Wystawiła głowę przez okienko.

- Zaspałam! Jedź sama, nie możemy się obie spóźnić na

zebranie.

- Ale jak się dostaniesz do obozu?

- Poproszę mamę, jeśli ona nie będzie mogła, to zadzwonię po B.J.

- Dobrze, to na razie.

Jak się okazało, mama już wyjechała do miasta, więc zadzwoniłam do B.J. Powiedział, że zaraz będzie. Ciekawe, pomyślałam, ubierając się błyskawicznie, czy pojawi się w smokingu z wizytówką: „Cześć. Nazywam się Niezawodny”.

ROZDZIAŁ 3

Dzięki pomocy B.J. spóźniłam się tylko kilka minut. Zaraz po zakończeniu zebrania Brenda, ja i reszta pomocników pognała na polanę na apel poranny. Opiekunowie i uczestnicy już zebrali się wokół masztu pod zachmurzonym, szarym niebem. Podzieliliśmy dzieci na trzy grupy i zaczęliśmy śpiewać na głosy: „Wiosłuj, wiosłuj po rzece".

Po paru kolejnych piosenkach Brenda wymierzyła mi lekkiego kuksańca.

- Ktoś cię szukał dziś rano - wyszeptała.

- Już mi nic nie mów. - Westchnęłam. - Pan Carson, co? Bardzo się złościł, że się spóźniłam?

- To nie pan Carson - odparła. - Szukał cię Scott. Przywiózł Danny'ego i potem kręcił się po obozie dłuższą chwilę. Słyszałam, jak pytał Monikę, gdzie jesteś.

Nie chciałam, by Brenda się domyśliła, jak bardzo było mi przykro, że się z nim nie spotkałam, więc rzuciłam lekko:

- Tak? Ciekawe, czego chciał?

- Ciebie, to oczywiste. Jesteś pewna, że nic się między wami nie kroi?

- Bren, daj spokój. Nawet dobrze nie znam faceta.

- A jednak, gdy włączyłam się do chóru śpiewającego „Och, Susannah", miałam nadzieję, że kiedyś trafi mi się okazja bliższego poznania Scotta.

Koło południa chmury nad obozem pociemniały, powietrze przenikała mgiełka. Zanosiło się na deszcz. Fantastycznie, pomyślałam kwaśno, idealny moment na ognisko.

Każdego dnia inna grupa uczestników obozu przygotowywała posiłek przy ognisku - dziś była kolej Gwiezdnych Wojowników. Dzieciaki bardzo na ten moment czekały, miałam więc nadzieję, że ogień się rozpali i da się go utrzymać tak długo, byśmy zdążyli przysmażyć parówki. W przeciwnym razie musielibyśmy ugotować je w kuchni w głównym budynku i zajadać pod dachem. W ten sposób byłyby nici z całej frajdy.

- Ruszamy, chłopaki - powiedziałam do mojej grupy.

- Czas przygotować ognisko! Przede wszystkim musimy nazbierać chrustu. Dobierzcie się parami - tu spojrzałam wymownie na Danny'ego - i przynieście wszystkie patyki i gałązki, jakie tylko znajdziecie pod drzewami. Ja przydźwigam polana.

Nathan zerknął na groźne chmury.

- Na pewno będzie padać - zaczął narzekać. - Jak rozpalimy ognisko w deszczu?

Też chciałabym wiedzieć, pomyślałam. Ale odpowiedziałam z uśmiechem:

- Nie martw się, Nathanie. Wierz mi, nie będzie padać. A jeśli nawet, to tylko niegroźnie pokropi.

- Skąd wiesz? - spytał podejrzliwie Danny.

- Po prostu wiem - rzuciłam pewnie. - A teraz bierzemy się do zbierania chrustu.

- Dobrze, ale założę się, że będzie padać - oświadczył Danny, odchodząc z Joeyem na skraj lasu.

Kiedy pół godziny później starannie układałam hubkę, podpałkę i drobne gałązki wewnątrz kręgu z kamieni, poczułam, jak parę zimnych kropli spadło na moje odsłonięte ramiona.

- Pada! - wrzasnął triumfalnie Danny. - A nie mówiłem!

- A niech to! - Fred skrzywił się. - I teraz nici z naszego ogniska.

- Właśnie, że nie - upierałam się. - Pokropi chwilę i przestanie, nie ma się czym przejmować.

Chłopcy otoczyli mnie kołem i patrzyli, jak przykładam zapaloną zapałkę do hubki. Deszcz w mgnieniu oka zgasił płomień. Powtórzyłam czynność trzykrotnie, z takim samym skutkiem. O mały włos, a uległabym pokusie. Obok stały papierowe torby z naszymi zapasami. Wystarczyło, żebym podarła torbę, dodała do podpałki i już byśmy mieli ogień, bez względu na deszcz.

Z westchnieniem zwalczyłam pokusę. Jeśli dzieciaki mają się nauczyć, jak prawidłowo rozpalać obozowe ognisko, to muszę im

pokazać. Zapaliłam więc kolejną zapałkę i jeszcze jedną. Po szóstej próbie hubka wreszcie się zajęła.

- Hurra, Tralain! - zawołali Gwiezdni Wojownicy. Byłam bardzo z siebie dumna.

Mżawka szybko ustała i nim się obejrzeliśmy, nasze ognisko chwacko zapłonęło. Wesoło trzaskały polana, a słup białego dymu płynął ku niebu, na którym wiatr już przeganiał chmury. Rozłożyłam plastikowy obrus, a chłopcy pomogli mi rozpakować torby z zapasami. Kiedy opiekali parówki nad płomieniem, nakładałam na zaostrzone patyki kawałki jabłek, bananów, melonów i ananasów, robiąc „chodzącą sałatkę". Nazywała się tak dlatego, że jadało się ją, chodząc wokół ogniska.

- Rany, ale to dobre - powiedział Matt, nadgryzając opieczoną parówkę.

- Czy możemy zrobić lepiki? - wtrącił Danny.

- Dopiero jak zjecie parówki i sałatkę - powiedziałam. Zupełnie jakbym słyszała mamę, pomyślałam.

Byliśmy tak głodni, że bez trudu skończyliśmy nasze „danie główne". Potem rozdałam chłopcom ptasie mleczka. Szybko odkryli świetną ich zdaniem zabawę: zamiast opiekać słodycze powoli i ostrożnie, przysuwali je blisko ognia, tak że płonęły jak pochodnie.

- Popatrzcie! - wrzasnął Danny, wymachując w powietrzu płonącym cukierkiem. - Jestem królem płomieni!

Oczywiście, reszta natychmiast poszła za jego przykładem. Przestraszyłam się, że mogą się poparzyć albo podpalić włosy kolegów. Zagwizdałam więc donośnie na gwizdku i kazałam im się uspokoić, grożąc, że w przeciwnym razie nie będzie lepików. To ich od razu otrzeźwiło.

- Ja pierwszy - powiedział Nathan, podsuwając mi patyk z kawałkiem osmalonego ptasiego mleczka. - Pokaż mi, jak robić lepiki, Tralain.

Z ponurą miną zdjęłam zwęgloną skwarkę z patyka, starając się umieścić ją na kawałku mlecznej czekolady, pomiędzy dwoma herbatnikami, ale mój pokaz zupełnie się nie udał. Ptasie mleczko

przyklejało się do wszystkiego - rzecz jasna, poza czekoladą i ciasteczkami, Ani się obejrzałam, a już lepiły mi się dłonie, twarz i nawet włosy, po tym jak próbowałam odgarnąć niesforne pasemko.

- Robicie lepiki, co? Kiedyś mi świetnie wychodziły - usłyszałam znajomy, niski głos.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam szeroko uśmiechniętego Scotta. Dlaczego on wyskakuje jak diabeł z pudełka, i zawsze w chwili, kiedy przypominam stracha na wróble?

- O, cześć - powiedziałam, żałując, że nie mogę się zapaść pod ziemię. - Skąd się tu wziąłeś tak wcześnie? Jeszcze nie pora na odebranie Danny'ego.

- Wiem - odparł wesoło. - Ale miałem trochę wolnego czasu, więc pomyślałem, że wpadnę i sprawdzę, czy mój braciszek dla odmiany dobrze się sprawuje. - Danny wywalił język, ale Scott to zignorował. - Pan Carson wytłumaczył mi, gdzie was można znaleźć - ciągnął.

- Wygląda na to, że przydałaby ci się pomoc, Tralain. Mogę się zgłosić na ochotnika?

- Jasne. - Westchnęłam.

Scott zgrabnym ruchem wziął patyk i zatknął na koniec ptasie mleczko.

- Gdybyś przypadkiem nie wiedziała, to jest moja specjalność - powiedział, a w jego oczach pojawiły się łobuzerskie błyski. Odwracając się do chłopców, dodał:

- A teraz, panowie, proszę o uwagę. Zaraz pokażę, jak wykonać idealnego lepika.

Dzieciaki patrzyły jak zaczarowane, gdy Scott opiekał cukierek tuż nad płomieniem, aż nabrał wielce apetycznego, złotobrązowego koloru.

- Cały dowcip polega na cierpliwości - oświadczył, zgrabnie składając lepika doskonałego i podając go Fredowi.

Kiedy Scott pomagał reszcie chłopców, usiadłam na pniu drzewa i starałam się zdrapać z twarzy i dłoni okruchy stwardniałej masy. Z jaką ulgą chociaż na parę chwil przekazałam

odpowiedzialność za grupę komuś innemu! Natychmiast przypomniało mi się, co Brenda mówiła o Tysonie i narkotykach; obserwując go, coraz bardziej się upewniałam, że to tylko wredne, złośliwe pomówienia. Scott ani wyglądem, ani zachowaniem nie przypomniał szczeniaków popalających trawkę za salą gimnastyczną. Wyglądał tak, jak wczoraj powiedziałam Brendzie. Normalnie? Nie, zupełnie zabójczo!

Kiedy zadowoleni chłopcy zajadali swoje lepiki, Scott podszedł do mnie i usiadł obok.

- Widzisz, jakie to banalnie proste? - rzucił, uśmiechając się olśniewająco.

- No dobrze, panie magiku - odparłam, udając złość.

- Udowodnił pan to bez cienia wątpliwości. Muszę przyznać, że w tej konkurencji bijesz mnie na głowę.

Z twarzy Scotta natychmiast zniknął uśmiech.

- No, przepraszam, Tralain. Wcale nie chciałem cię zakasować ani usuwać w cień. Tylko sobie pomyślałem, że przyda ci się odrobina pomocy.

- Miałeś stuprocentową rację - przyznałam z uśmiechem.

- Dzięki za akcję ratowniczą. Może byś się na dłużej do nas przyłączył? Czas na zrobienie porządków i powrót na polanę, na zajęcia popołudniowe. Jeśli masz jeszcze trochę czasu, bardzo przydałaby mi się pomoc.

- Nie ma sprawy - odparł.

Zajął się wyrzucaniem śmieci i pakowaniem resztek jedzenia, a ja sprawdziłam, czy ognisko jest porządnie zgaszone. W milczeniu poprowadziliśmy grupę na polanę, ale co dziwne, ta cisza mi nie ciążyła. Czułam się bardzo dobrze, tak idąc z nim ramię w ramię, bez słowa.

Wtem ktoś mnie pociągnął za połę koszuli. Spojrzałam przez ramię i zobaczyłam Danny'ego.

- Tralain, w przyszły poniedziałek są moje urodziny - powiedział, drepcząc obok mnie. - Skończę osiem lat.

- Wspaniale! Gratulacje! - Uśmiechnęłam się do niego.

- Przyjdziesz na imprezę? - zapytał przejęty. - Bardzo proszę

- nalegał.

- Oczywiście, że tak - odpowiedziałam mile zaskoczona.

- Ale może najpierw powinieneś zapytać mamę o pozwolenie?

- Już to zrobił - wtrącił się Scott. - I się zgadza. Z entuzjazmem. Danny opowiadał o tobie i mama nie może się doczekać spotkania.

Chłopczyk wyciągnął z kieszeni pobrudzoną, trochę pomiętą kopertę i podał mi ją z powagą.

- To jest zaproszenie. Moje urodziny są w przyszły poniedziałek, impreza zaczyna się o siódmej. Przyjdziesz, prawda?

- Eee... Tak, Danny, oczywiście, że przyjdę - powiedziałam, zastanawiając się trochę nerwowo, cóż takiego chłopiec opowiadał o mnie w domu. Ciekawiło mnie również, czy Scott będzie na imprezie. Zabrakło mi odwagi, by go o to zapytać wprost, ale z całej duszy miałam nadzieję, że będzie!

ROZDZIAŁ 4

Po pierwszych, trudnych chwilach już więcej nie czułam się tak przytłoczona opieką nad dziećmi. Z każdym dniem lepiej sobie radziłam z Gwiezdnymi Wojownikami, a w miarę gdy rosła moja pewność siebie, rósł też mój autorytet wśród chłopców.

Od tego dnia, kiedy Scott pomagał mi robić lepiki, już więcej się nie pojawił na obozie. Nie przyjeżdżał też po Danny'ego; teraz zabierała go matka Matta. Byłam trochę rozczarowana. Uznałam, że widać nie zrobiłam na nim tak wielkiego wrażenia, jak on na mnie, więc próbowałam o nim zapomnieć. Mimo wszystko miałam jednak nadzieję, że zobaczę go w poniedziałek na urodzinach brata.

Nim się obejrzałam, nadszedł piątek. W piątkowe wieczory zawsze spotykałam się z B.J. Gdy Brenda podrzuciła mnie do domu po zajęciach w obozie, wzięłam prysznic, umyłam włosy i po wysuszeniu zaplotłam we francuski warkocz. Założyłam białe szorty, ulubioną morelową bluzkę i uznałam, że jestem gotowa do wyjścia. Nigdy nie chodziliśmy do modnych, drogich lokali, więc ten zestaw na pewno będzie stosowny do miejsca, które wybierze B.J.

Kiedy zjawił się, jak zwykle punktualnie, o wpół do ósmej, oświadczył, że idziemy do kina.

- Dobranoc - pożegnał się grzecznie z moimi rodzicami. - Proszę się nie martwić, jak zawsze, odwiozę Tralain do domu przed jedenastą.

- Nigdy się nie martwimy, kiedy jest z tobą. - Mój ojciec uśmiechnął się serdecznie.

- Dobrze się bawcie, moi drodzy - dodała mama. Gdy wyszliśmy przed dom, z zachwytem wciągnęłam głęboko powietrze: czułam upajający, słodki zapach świeżo ściętej trawy, płynący z pól ciągnących się za naszym osiedlem. Wsiedliśmy do auta.

W drodze do kina B.J. opowiadał mi, co robił przez tydzień. Słuchałam, dorzucając od czasu do czasu jakąś uwagę i myśląc,

jak świetnie wygląda w spłowiałych dżinsach i granatowej koszulce polo. Przystojny, pracowity, niezawodny - czegóż więcej można chcieć od chłopaka? Szczęściara z ciebie, Tralain, i ani na chwilę o tym nie zapominaj, nakazałam sobie w myślach.

Jak zwykle B.J. kupił dla nas jedną torebkę prażonej kukurydzy do podziału i dwie cole. Jak zwykle zajęliśmy miejsca w połowie środkowego rzędu. Jak zwykle, gdy skończyliśmy jedzenie i picie, a po reklamówkach zaczął się film, B.J. wziął mnie za rękę.

Mimo klimatyzacji nasze zaciśnięte dłonie zaraz zrobiły się lepkie od potu i z trudem się powstrzymałam, by nie wyrwać ręki i nie wytrzeć jej o szorty. Próbowałam się skupić na filmie, ale moje myśli ciągle umykały do Scotta Tysona. Ciekawe, co on teraz porabia? Czy spotkał się Z Norrisem, by rozprawiać o morzu. A może urwał się sam, żeby się zaćpać? Przestań! - nakazałam sobie. Ludzie powtarzają wredne plotki. To nie w stylu Scotta, on nie wygląda na takiego. Ale zadrżałam przy tym jak liść osiki.

- Co jest, Tralain? Zimno ci? - szepnął B J.

- Może trochę - odpowiedziałam też szeptem. B.J. puścił moją dłoń i objął mnie.

- Nic dziwnego. Powinnaś była włożyć spodnie albo rajstopy. Wiesz, że tu zawsze klimatyzacja działa na pełnych obrotach.

- Tak, wiem. - Westchnęłam. - Ale kiedy się ubierałam, nie miałam pojęcia, gdzie idziemy. Dlatego włożyłam szorty.

- Cicho - zasyczał ktoś za nami, więc już do końca filmu milczeliśmy.

Po wyjściu z kina przespacerowaliśmy się do Marzenia Eskimosa na lody i B.J. zawiózł mnie do domu. Jak zwykle pocałowaliśmy się na ganku.

- W ten weekend będę okropnie zajęty robotą u ojca, ale spróbuję jakoś się wyrwać - powiedział. - Gdybym jednak nie mógł, to wpadnę po ciebie w poniedziałek koło siódmej, jedziemy przecież na ten koncert rockowy na stadionie.

Zamarłam. Przecież tego samego wieczoru odbywają się

urodziny Danny'ego! B.J. kupił bilety na koncert chyba ze sto lat temu i wtedy strasznie się cieszyliśmy z tego występu, a teraz zupełnie o nim zapomniałam! Nie chciałam zawieść Danny'ego, ale jak mam wytłumaczyć B.J., że umówiłam się z ośmiolatkiem, który, tak się dziwnie składa, ma bardzo pociągającego starszego brata?

Wymamrotałam słowa pożegnania, wsunęłam się do domu i zamknęłam za sobą drzwi. I co ja, u licha, mam zrobić?

Mamusiu, mam problem i potrzebuję twojej rady - powiedziałam następnego dnia, gdy klęcząc obok siebie pieliłyśmy rabatę kwiatową za domem.

- Zamieniam się w słuch. O co chodzi? - spytała mama.

- No więc sytuacja wygląda tak... - zaczęłam. I gdy w zarysach nakreśliłam mój dylemat, zakończyłam: - Na początku Danny bardzo mi się naraził, ale jego brat twierdzi, że nieznośnym zachowaniem odreagowuje rozwód rodziców. Boję się, że będzie mu strasznie przykro, jeśli nie przyjdę na jego urodziny. Ale B.J. kupił te bilety sto lat temu i zapłacił górę pieniędzy. Nie mogę go wystawić do wiatru w ostatniej chwili.

- Hmm... - Mama zerwała zwiędłą petunię i wrzuciła ją do koszyka na chwasty. - Rzeczywiście, niełatwa sprawa. Ale skoro zapytałaś mnie o radę, kochanie, to powiem ci szczerze, co myślę. Moim zdaniem, powinnaś powiedzieć B.J. prawdę, i to im szybciej, tym lepiej, żeby miał czas sprzedać twój bilet komuś innemu.

- To nie jest takie proste - wyznałam z westchnieniem. - Wiesz, jaki B.J. potrafi być zazdrosny.

- Zazdrosny? O małego chłopca? - Mama była zdumiona.

- Nie, nie o Danny'ego. O jego starszego brata, Scotta.

- A czy B.J. ma jakiekolwiek podstawy do zazdrości o Scotta? - Mama przyjrzała mi się bacznie. - Czy ty się nim interesujesz?

- Ee... - Czułam, że się czerwienię aż po korzonki włosów. - Spotkałam go wszystkiego ze dwa razy, ale...

- A więc to tak. - Widziałam, że mama pojęła w lot całą

sytuację. - Kto zaprosił cię na te urodziny: Danny czy jego brat?

Na to pytanie było mi łatwiej odpowiedzieć.

- Danny. A Scott równie dobrze może się wcale nie pojawić.

- W takim razie nadal trzymam się mojej pierwotnej wersji. Zadzwoń do B.J. i wyjaśnij mu sytuację. Och - dodała z nagłym ożywieniem - właśnie wpadł mi do głowy świetny pomysł. Może byś zatelefonowała do Brendy i spytała, czy ma ochotę skorzystać z twojego biletu? Brenda i B.J. są tak dobrymi przyjaciółmi, że powinni się świetnie bawić.

Rzuciłam się uściskać mamę i niemal wywróciłam jej koszyk na chwasty.

Postanowiłam, że przed rozmową z B.J. najpierw zadzwonię do Brendy, żeby upewnić się o jej zgodzie. Na szczęście miała wielką ochotę na koncert. Potem zatelefonowałam do B.J., ale go nie było w domu, więc zostawiłam wiadomość jego mamie. Skontaktował się ze mną po godzinie i wtedy szybko - i zdecydowanie nerwowo - wyznałam, że nie będę mogła z nim pójść. Ku mojemu zdumieniu, wcale tak bardzo się nie przejął zmianą planów, a kiedy powiedziałam, że Brenda zajmie moje miejsce i zapłaci mu za bilet, wpadł w szczery entuzjazm.

Teraz, skoro rozwiązałam problem koncertu, pozostały mi dwie rzeczy: kupić prezent dla Danny'ego i czekać na poniedziałkowy wieczór. Liczyłam godziny do tych urodzin tak niecierpliwie i gorączkowo, jakbym cofnęła się do wieku jubilata! Chociaż powtarzałam sobie to, co powiedziałam mamie, że Scotta pewnie tam nie będzie, w głębi duszy liczyłam na spotkanie.

W poniedziałek rano Danny podbiegł do mnie, gdy tylko pojawiłam się w obozie.

- To jest mapa - powiedział, podając mi kawałek papieru. - Mama prosiła, żeby ci ją dać, bo inaczej się zgubisz, jadąc na moje urodziny. Przyjedziesz, prawda, Tralain? Błagam! - powtórzył chyba już setny raz.

- Oczywiście, że tak, Danny - zapewniałam przejętego chłopczyka. - Przecież obiecałam. Zjawię się z wybiciem siódmej.

Tato zaproponował, że mnie odwiezie, i wyruszyliśmy zaraz

po kolacji. Bardzo szybko zrozumiałam, dlaczego pani Tyson sporządziła tak dokładną mapę. Droga za miastem wiła się wśród pól, a potem prowadziła po zalesionych wzgórzach. Wkrótce z jednego ze szczytów oglądaliśmy dolinę, pokrytą sadami brzoskwiniowymi, a w dali rysowała się szachownica łąk i pól.

Tato, po raz kolejny zerknąwszy na mapę, skręcił z drogi na żwirowany podjazd, minął skrzynkę pocztową z nazwiskiem Tysonów i po chwili podjechaliśmy przed wielki, nowoczesny dom. Robił imponujące wrażenie. Otaczały go starannie utrzymane kępy azalii i rododendronów. W wysokich oknach po obu stronach drzwi wejściowych odbijało się zachodzące słońce.

- O rany - jęknęłam, kiedy tato zatrzymywał samochód. - Ale chałupa!

- Rzeczywiście, wyjątkowa architektura - zgodził się tato. - Przydałaby ci się druga mapa, żeby się nie zgubić w środku. Kochanie, zadzwoń proszę, kiedy skończy się impreza - dodał, gdy wysiadałam. - Któreś z nas po ciebie przyjedzie.

- Dzięki, tatusiu.

Odjechał, a ja poszłam ku drzwiom. Nie chciałam się ubrać zbyt wytwornie na urodziny małego chłopca, ale teraz się zastanawiałam, czy nie powinnam była włożyć sukienki zamiast leginsów i wielkiej koszuli w egzotyczny wzór. Już i tak nic na to nie poradzisz, stwierdziłam w duchu, wyprostowałam się i nacisnęłam dzwonek. Spojrzałam na zegarek, była dopiero za kwadrans siódma. Czy będę pierwszym gościem? Kto mnie wpuści? Może Scott?

Ale to nie był Scott. Drzwi otworzyła atrakcyjna blondynka w karmazynowej letniej sukience w kwiatki. Dwa wielkie setery, które wypadły z domu, zaczęły skakać wokół mnie z głośnym szczekaniem - miałam nadzieję, że to owacyjne powitanie, a nie atak.

- Nie przejmuj się nimi! - zawołała kobieta, przekrzykując hałas. - To z radości. Wchodź. Ty pewnie jesteś Tralain, prawda?

Potaknęłam głową i weszłam do środka.

- Nazywam się Sandra Tyson. Jestem matką Scotta i

Danny'ego - powiedziała z ciepłym uśmiechem. I gdy wymieniłyśmy uścisk dłoni, ciągnęła: - Tak się cieszę, że cię wreszcie poznałam, Tralain. Danny bez przerwy o tobie opowiada.

- Miło mi panią poznać, pani Tyson. Chyba zjawiłam się trochę za wcześnie. Tato mnie odwiózł, a pani mapa była tak dobra, że droga zajęła nam mniej czasu, niż sądziliśmy.

- Nic się nie stało. Może poczekasz tutaj, a ja pobiegnę na górę i powiem Danny'emu, że już jesteś? Będzie uszczęśliwiony.

Pani Tyson wskazała gigantyczny salon obok korytarza, a sama ruszyła kręconymi schodami na wyższy poziom domu. Weszłam do pokoju i oglądałam go, podziwiając wielki kamienny kominek, barwne indiańskie kilimy, oszkloną etażerkę wypełnioną pamiątkami z zagranicznych wojaży. W jednym z rogów pokoju stał posąg - kobieca postać wyrzeźbiona w białym marmurze. Miałam wrażenie, że patrzy na mnie z dezaprobatą, jak na intruza.

- Cześć, Tralain! - Do pokoju wpadł rozpromieniony Danny, za nim wsunęła się matka. - Wyobraź sobie, że na moje urodziny przyjdzie prawdziwy magik!

- To wspaniale - powiedziałam, wyciągając z torebki paczkę, owiniętą w jaskrawy papier. W środku był model samochodu wyścigowego do sklejenia.

- O rany! Dzięki! - Chwycił prezent i już miał rozedrzeć opakowanie, gdy matka pokręciła przecząco głową.

- Nie teraz, Dan, poczekaj na resztę gości, dobrze? Danny posłusznie odłożył paczuszkę na niski stolik przed skórzaną sofą.

- Mamusiu, czy mogę pokazać Tralain mojego królika? - spytał.

- Oczywiście, kochanie - odparła pani Tyson. - Zawołam was natychmiast, gdy tylko pojawią się następni goście.

Wyszliśmy z salonu i Danny poprowadził mnie długim korytarzem.

- Mój króliczek nazywa się Oskar - wyjaśnił, gdy znaleźliśmy się na otoczonym murem patio, które zdobiły rośliny w doniczkach. - Tutaj mieszka. Hej, Oskar, gdzie jesteś? - chłopczyk rozejrzał się, po czym wsunął głowę pod ławkę zrobioną z

drewnianych deseczek. - O, mam cię! - zawołał przyklękając. Wyciągnął białego, puchatego królika z czarną łatą w kształcie rombu na grzbiecie i lśniącymi czerwonymi oczkami. Zwierzak strzygł białymi wąsikami.

- Jaki śliczny! - zawołałam, głaszcząc mięciutkie jak aksamit futerko.

- Oskarowi bardzo się tu podoba - wyjaśnił Danny. - Ma dużo miejsca i psy mu nie dokuczają, a przede wszystkim nie może mi uciec.

Czegoś takiego, Danny, potrzebowaliśmy dla ciebie pierwszego dnia obozu, pomyślałam z uśmiechem. Miejsca, z którego nie mógłbyś uciec.

- Bardzo chciałbym któregoś dnia przywieźć Oskara do obozu, żeby inne dzieci mogły go zobaczyć - ciągnął Danny. - Jak myślisz, czy będę mógł?

- Ja się zgadzam - odparłam. - Może porozmawiamy o tym jutro z panem Carsonem?

- Ekstra! - Chłopczyk rozpromienił się. - Chodź, Tralain, pokażę ci mój pokój, zanim przyjdą dzieci.

Poszłam za nim na tył domu, a potem schodami na górę, do dużej, przestronnej sypialni.

- Może usiądź na moim specjalnym fotelu - zaproponował Danny. - Świetnie się na nim ogląda telewizję.

Opadłam na wielki wór, wypełniony fasolkami.

- Rzeczywiście, bardzo wygodny - przyznałam. - Mogłabym się z niego nie ruszać przez całą noc.

- Co ty! Moje urodziny przeszłyby ci koło nosa! Danny pokazał mi swoją kolekcję modeli samochodów i z zadowoleniem stwierdziłam, że z prezentem dla niego trafiłam w dziesiątkę.

- Scott pomógł mi je poskładać - powiedział. - Świetnie mu idą takie rzeczy.

- Czy Scott przyjdzie na twoją imprezę? - rzuciłam lekkim tonem.

- Nie wiem, może. Powiedział, że się postara. Popatrz na to, Tralain. - Wziął z biureczka fotografię w ramkach i przyniósł mi

do fotela. - To zdjęcie taty i dziadziusia.

- W jego oczach zgasły iskierki radości. - Tatuś i mama już razem nie mieszkają. Rzadko go widuję, bo ma bardzo dużo zajęć, jest okulistą. I bardzo tęsknię za dziadkiem. Opowiadał mi historie, jak to było, kiedy on był małym chłopcem, ale w zeszłym roku poszedł do nieba.

Serce ścisnęło mi współczucie dla Danny'ego. Skoro w jednym roku spadł na niego i rozwód rodziców, i śmierć dziadka, nic dziwnego, że czasem bywał nieznośny. Wzruszona, wyciągnęłam rękę i chciałam go objąć, ale mi się wymknął.

- Coś ci jeszcze pokażę - zapowiedział, podchodząc do dużego okna.

Podniosłam się posłusznie i wyjrzałam przez okno: przed nami rozciągał się kort tenisowy. Szeroko otworzyłam oczy ze zdumienia.

- Zrobiłeś na mnie wrażenie, Danny - powiedziałam.

- Nie znam nikogo, kto miałby własny kort w ogródku! Twoja rodzina pewnie przepada za tenisem.

- Mama dużo gra, Scott też, ale ja się dopiero uczę. Scott mi pokazuje podstawowe uderzenia, jest naprawdę dobry. Umiesz grać, Tralain?

- O, tak. Uwielbiam tenis i nie przepuszczę żadnej okazji, żeby sobie popykać.

- Ona też dobrze gra, Danny - rozległ się głos za nami.

- Widziałem ją w akcji.

Odwróciłam się błyskawicznie i zobaczyłam stojącego w drzwiach Scotta. Miał na sobie białe szorty i intensywnie czerwoną koszulkę polo, uśmiechnięty wyglądał tak zabójczo, że serce mi zabiło szybciej w piersiach.

- Eee... dzięki - wykrztusiłam z niemałym trudem.

- Mama mnie tu przysłała. Mam ci przekazać, że twoi goście już się zjawili - zwrócił się Scott do brata. - Lepiej pobiegnij na dół, Tralain i ja przyjdziemy za chwilę.

- Jasne! - Danny wypadł z pokoju, zostawiając mnie sam na sam ze Scottem.

- A może byś tak kiedyś ze mną zagrała? - zaproponował z uśmiechem.

- Czemu nie? Chociaż pewnie zmieciesz mnie z kortu.

- Zaśmiałam się niepewnie.

- A może to ty mnie zetrzesz w pył? Kto wie? Najprostsza metoda, by się przekonać, to spróbować. Co ty na to?

- Może, kiedyś - droczyłam się.

Chociaż z dziką radością zagrałabym ze Scottem, mogłam sobie bez trudu wyobrazić reakcję B. J., gdyby nas zobaczył razem na korcie w szkole.

- Ale teraz lepiej, żebyśmy poszli na dół i przyłączyli się do gości - rzuciłam stanowczo.

- Dobra myśl. Przecież nie możemy dopuścić, by nas ominął występ sztukmistrza.

Ku mej radości, Scott ujął mnie za rękę i razem wyszliśmy z pokoju.

ROZDZIAŁ 5

Występ magika trwał blisko godzinę, budząc zachwyt dzieci, które klaskały i piszczały przy każdej kolejnej sztuczce. Wyciągnięty z cylindra biały królik bardzo mi przypominał Oskara, ale ponieważ nie widziałam jego karku, nie miałam stuprocentowej pewności. Po występie Danny rozpakował prezenty, a ja ze Scottem pomogłam pani Tyson częstować gości urodzinowym tortem i lodami.

Dochodziła dziewiąta, gdy po ostatnie z dzieci przyjechali rodzice. Przyszedł czas i na mnie, więc pożegnałam się z Dannym i spytałam Scotta, czy mogę skorzystać z telefonu.

- Muszę zadzwonić do rodziców i powiedzieć, żeby po mnie wpadli - wyjaśniłam.

- Nie ma sensu ciągnąć ich całą drogę aż tutaj - powiedział Scott. - Z przyjemnością cię odwiozę... Oczywiście, jeśli się zgodzisz.

Czy się zgodzę? Natychmiast i z rozkoszą! Nie mogłam jednak pokazać, jak bardzo mi na tym zależy.

- Miło z twojej strony, Scott - rzuciłam lekko. - Ale i tak muszę do nich zadzwonić.

Wykręciłam numer i usłyszałam charakterystyczny krótki sygnał.

- Zajęte - powiedziałam. - Spróbuję za chwilę.

- Może tymczasem zagramy seta? - zaproponował Scott.

- Co takiego? - Uniosłam pytająco brwi. - Po ciemku?

- Na korcie są reflektory. Poprzedni właściciele tego domu mieli świra na punkcie tenisa i łupali dzień i noc. To co, gramy?

Śmiejąc się pokręciłam głową.

- Ależ jesteś uparty! Poczekaj chwilkę, spróbuję jeszcze raz. - Nacisnęłam guzik i automat wybrał numer rodziców.

Tym razem mama podniosła słuchawkę. Kiedy powiedziałam, że Scott odwiezie mnie do domu po małej partyjce tenisa, zgodziła się, pod warunkiem że wrócę najpóźniej o jedenastej.

- No dobrze, załatwione. - Odłożyłam słuchawkę i zwróciłam

się do Scotta: - Ale nie wiem, jak mi pójdzie. Ostatnio rzadko bywałam na korcie i jeszcze nigdy nie grałam przy sztucznym świetle.

- Szukasz wykrętów - zażartował.

Poprowadził mnie do bocznych drzwi, które wychodziły na cedrowy taras, zbudowany nad jasno oświetlonym kortem. Po drodze zabrał z szatni dwie rakiety i puszkę piłek. Zeszliśmy na kort i zrobiliśmy kilka ćwiczeń rozciągających, by się rozruszać przed rozgrzewką. Teraz byłam zadowolona ze swojego stroju. Może i leginsy z wielką koszulą nie były najbardziej właściwym ubiorem sportowym, ale lepsze to niż sukienka.

Kiedy już się rozgrzaliśmy, wzięliśmy się za ćwiczenie serwów. Moje nie były takie złe, ale Scott walił z budzącą szacunek siłą. Jakimś cudem za każdym razem zdołałam je odbierać i udawały nam się długie wymiany. A kiedy zaczęliśmy grać na punkty, okazało się, że prezentujemy bardzo wyrównany poziom. Ciszę chłodnej nocy przerywały tylko rytmiczne uderzenia piłki tenisowej, odbijającej się od strun mocno naciągniętych rakiet.

Koncentrując się z całych sił na każdym punkcie, grałam znacznie lepiej niż zwykle i wkrótce wywalczyłam równowagę, która utrzymała się przez dłuższą chwilę. Najpierw Scott zdobył punkt, potem ja. Wreszcie, ku memu zdumieniu, zaliczyłam dwa punkty z rzędu, najpierw dzięki dropszotowi, a potem wysokiemu lobowi, kiedy piłka poszybowała nad jego głową, ale wylądowała w korcie. Tak wygrałam seta.

Wydałam triumfalny okrzyk, a Scott podbiegł do siatki, by mi uścisnąć dłoń.

- Całkiem nieźle, Martinson - wykrztusił zadyszany. - Oczywiście, odbiłbym tego loba i skasował cię zabójczą ścina, gdyby nie to, że na moment oślepiły mnie reflektory.

- I kto teraz szuka wykrętów? - zażartowałam, ocierając pot z czoła. - Wiesz dobrze, że sromotnie cię pobiłam, Tyson. Przyznaj to zaraz!

Scott uniósł dłonie w geście poddania.

- No już dobrze, dobrze. Ale cóż znaczy jeden set? Żądam uczciwego meczu, złożonego przynajmniej z trzech setów i przy świetle dziennym!

- W każdej chwili - odparłam. Ruszyliśmy ku domowi.

- Właściwie to zgłodniałem - odezwał się Scott. - Może w drodze do ciebie zatrzymamy się na pizzę?

- Świetny pomysł - zgodziłam się. - Tylko pamiętaj, że mam wrócić przed jedenastą.

- Nie ma sprawy.

Scott odłożył rakiety i piłki na miejsce. Parę minut później wsiedliśmy do jego czerwonego sportowego samochodu i pomknęliśmy do miasta.

- Ekstra wóz - zauważyłam, przeciągając dłonią po gładkim, skórzanym obiciu fotela. - Nowy?

- Nie. Tato dał mi go ponad rok temu, ale dla mnie jest jak nowy, bo przez dziesięć miesięcy nie mogłem go prowadzić.

- Dlaczego? - spytałam.

Scott zastanawiał się tak długo, że już myślałam, że mi nie odpowie.

- Niedługo po tym, jak zdałem egzamin na prawo jazdy - zaczął wreszcie - dostałem czasowy zakaz prowadzenia samochodu. Nie martw się, zakaz już został zniesiony i wszystko jest w porządku.

- A to pech - wymruczałam, starając się ignorować niepokojące myśli i podejrzenia, które zrodziły się w mojej głowie. - Dlaczego dostałeś ten zakaz?

Po krótkiej chwili milczenia Scott powiedział z wysiłkiem:

- Jeśli pozwolisz, to wolałbym o tym nie mówić. - Gwałtownie zmieniając temat, zapytał: - Tralain, jaka jest twoja ulubiona pizza? Ja przepadam za taką z kiełbaskami i pepperoni.

Ale nagle na myśl o jedzeniu zaczęło mnie mdlić. Czy Tysonowi zabroniono prowadzenia samochodu, bo jadąc na prochach spowodował wypadek? Z pewnością teraz był zupełnie w porządku, ale nim wsiadłam do jego wozu, powinnam była przypomnieć sobie ostrzeżenia Brendy. A jeśli te plotki są

uzasadnione?

Z trudem przełknęłam ślinę.

- Scott, posłuchaj... - zaczęłam z wysiłkiem. - Właściwie... to nie jestem głodna. Może byś mnie zawiózł prosto do domu?

Scott zatrzymał samochód na czerwonym świetle i popatrzył na mnie kątem oka.

- Co się stało? Przejadłaś się tortem urodzinowym? - Uśmiechnął się szeroko.

Och, ile bym dała, żeby to było (akie proste, pomyślałam. Boję się, że jesteś ćpunem, ot co. Ale, rzecz jasna, nie mogłam tego powiedzieć na głos. A poza tym, sama jakoś nie potrafiłam w to do końca uwierzyć.

- Po prostu uświadomiłam sobie, że jutro rano muszę upiornie wcześnie wstać - rzuciłam lekko. - Chociaż właściwie jedna porcja nie zawadzi. Może być z kiełbaskami i pepperoni.

Parę minut później już wjeżdżaliśmy na parking przed barem Zakalec na Palec, ulubionej pizzerii młodzieży naszego miasta. Scott zatrzymał samochód i po wejściu do środka zamówił małą pizzę i dwie cole. Zanieśliśmy szklanki do przytulnego kąta i usiedliśmy naprzeciwko siebie.

- Tak się cieszę, że dziś przyszłaś - powiedział Scott. - Teraz, kiedy Danny'ego odwozi matka Matta, nie mam pretekstu, by zaglądać do obozu.

Poczułam, że się rumienię. Byłam zadowolona, że Scott za mną tęskni.

- Spędzam dużo czasu z moim przyjacielem, Norrisem Millerem - ciągnął. - On jest w porządku. Znasz go?

- Właściwie nie, tylko z widzenia - przyznałam.

- Niedługo jedziemy do Newport, do jego ciotki i wuja. Wuj jest rybakiem i zabierze nas na swoją łódź.

- To fantastycznie! - zawołałam. - Na długo wyjeżdżacie?

- Dwa, może trzy tygodnie. Mój szef w Wodnym Świecie znajdzie jakieś zastępstwo na ten czas - wyjaśnił.

W tym momencie kelner przyniósł naszą pizzę. Okazało się, że wrócił mi apetyt, i przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Scott

pierwszy skończył swoją porcję.

- Wiesz co, Tralain - odezwał się. - Odkąd mój brat jeździ do Radosnej Polany, zauważyłem w nim dużą zmianę na plus. Jest o wiele szczęśliwszy, a to wszystko dzięki tobie. Danny naprawdę cię lubi.

- Ja też go lubię. - Uśmiechnęłam się. - Poczułam się bardzo zaszczycona, kiedy mnie zaprosił na urodziny.

- No cóż... W części to było moje dzieło - wyznał Scott z nieśmiałym uśmiechem. - Pomogłem Danny'emu sporządzić listę gości i postarałem się, żebyś się na niej znalazła.

Wiedziałam, że znów się czerwienię, ale nic na to nie mogłam poradzić. Pochyliłam głowę i wbiłam wzrok w kawałek pizzy.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo chciałem się z tobą spotkać. - Wzruszył ramionami.

- Ale bałem się wyznać to prosto z mostu i zaprosić cię na randkę. No, przecież wiem, że masz chłopaka, więc pomyślałem sobie, że albo mi odmówisz, albo on mnie zbije na kwaśne jabłko.

Nie wierzyłam własnym uszom! Scott chce się ze mną spotykać! Marzyłam o tym z całej duszy, ale teraz zaczęłam się zastanawiać, w co takiego się pakuję. Właśnie miałam podjąć decyzję, gdy kątem oka zobaczyłam parę wchodzącą właśnie do środka.

Aż mnie zatkało z wrażenia. To był B.J. we własnej osobie! Z Brendą!

- Hmm... posłuchaj Scott, chyba powinniśmy już iść - wykrztusiłam, sięgając po torebkę.

- Już? - Spojrzał na zegarek. - Twoja godzina policyjna zaczyna się o jedenastej, a jest dopiero dziesiąta trzydzieści.

Nie odpowiedziałam, tylko wstałam i zaczęłam przemykać się do drzwi, a zdumiony Scott podążał za mną. Na nieszczęście musieliśmy przejść obok stolika, przy którym właśnie usiedli B.J. i Brenda. Szłam, patrząc prosto przed siebie i udając, że ich nie widzę, ale Bren wyciągnęła rękę i chwyciła mnie za skraj koszuli.

- Co to? Nawet się nie przywitasz? - spytała ze śmiechem.

Chociaż Brenda była moją najlepszą przyjaciółką, miałam ochotę ją zamordować. Czy nie zdawała sobie sprawy, że wpakowała mnie w niezłą kabałę i B.J. teraz nie da mi żyć?

- O, cześć! - zawołałam, udając zdziwienie. - Nie spodziewałam się was tutaj. Ależ się świetnie bawiłam na urodzinach Danny'ego - wyrzucałam z siebie jak karabin maszynowy. - Jego brat zaproponował, że mnie odwiezie, żeby tata nie musiał po mnie przyjeżdżać. To tak daleko od mojego domu.

B.J. mierzył Scotta morderczym spojrzeniem, a ja trajkotałam dalej jak najęta, żeby mu nie dać dojść do słowa.

- I jak się udał koncert? Jakiś wyjątkowo krótki. Zwykle takie imprezy kończą się znacznie później.

- Brendę rozbolała głowa, więc wyszliśmy wcześniej - odparł B.J., przenosząc na mnie złowrogie spojrzenie.

- Nieprawda! - zaprotestowała stanowczo Brenda.

- Chciałam zostać do końca, ale to ty wystąpiłeś ze wspaniałym pomysłem, żebyśmy wyjechali wcześniej, to unikniemy stania w korkach po zakończeniu koncertu.

- Ale to ty powiedziałaś, że muzyka jest za głośna i głowa cię od niej boli.

- Tak, ale mimo wszystko chciałam zostać do końca. Tak się zajęli kłótnią, że zupełnie zapomnieli o nas, więc pociągnęłam Scotta za rękę i pognałam w stronę drzwi. Kiedy dotarliśmy do samochodu, mój żołądek aż się zacisnął ze strachu.

- Czy to był twój chłopak? - spytał Scott, wyjeżdżając z parkingu i pędząc ulicą.

- To był B.J. we własnej osobie.

- Skoro umawia się z innymi dziewczynami, to może niepotrzebnie się obawiałem zaproszenia cię na randkę. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Może znów się spotkamy? Co byś powiedziała na najbliższy weekend? W sobotę mam wolne, wyjątkowo nie idę do pracy.

W tej właśnie chwili postanowiłam nie przejmować się ani B.J., ani wrednymi plotkami na temat Scotta.

- Z przyjemnością - odparłam.

- Świetnie. Masz rower? Zaskoczona, skinęłam głową.

- To zapakujemy rowery do kombi mojej mamy i pojedziemy na wybrzeże. Możemy zatrzymać się w Seaside, pokażę ci Wodny Świat, a potem ruszymy na północ, do Fort Stevens. Urządzono tam park stanowy, a w nim całe mile tras rowerowych. Wpadnę po ciebie wcześnie rano w sobotę. Może być o ósmej?

- Fantastyczny plan. - Uśmiechnęłam się.

Parę minut później już byliśmy pod moim domem. Nim otworzyłam drzwi, poczekałam, aż samochód Scotta zakręci i zupełnie zniknie mi z oczu. Rodzice już spali, więc na palcach przeszłam korytarzem i po starannym prysznicu położyłam się do łóżka.

Chociaż padałam ze zmęczenia, nie mogłam usnąć. Jaki dziwny był ten wieczór! Pod powiekami wirowały mi obrazy niczym na karuzeli: Danny z królikiem, magik, ciepłe spojrzenie Scotta, nasz tenis w blasku reflektorów, wyraz twarzy B.J., kiedy najpierw ostro mierzył wzrokiem Scotta, a potem mnie...

- Psssyt... Tralain!

Usłyszałam wołanie i siadłam wyprostowana na łóżku. Ktoś stał przy otwartym oknie i szeptał moje imię! Czyżby to Scott wrócił, bo zapomniał mi coś powiedzieć?

Wstałam i pospieszyłam do okna; odsunęłam zasłonę. W świetle księżyca zobaczyłam ponurą twarz B.J.

- B.J., co...

- Wyjdź, musimy porozmawiać - warknął. - To ważne. Nie miałam najmniejszej ochoty na rozmowę z nim, ale jak mogłam się od niej wykręcić? Narzuciłam szlafrok na kusą piżamę i na palcach przemknęłam korytarzem do tylnych drzwi. B.J. czekał na mnie za domem. Nim zdołałam wykrztusić słowo, zaczął mówić.

- Nie będę pytał, co jest między tobą i Scottem Tysonem - zaczął. - Gołym okiem widać, że się w nim zabujałaś. Ale, moim zdaniem, jesteś śmierdzącym tchórzem. Jak mogłaś się uciec do tak żałosnego wybiegu? Ta historyjka o urodzinowym przyjęciu jakiegoś dzieciaka... To po to, żeby się z nim spotykać za moimi

plecami?

- Niczego nie wymyśliłam! - zawołałam ostro. - Naprawdę poszłam na urodziny Danny'ego. Jak śmiesz mnie oskarżać o kłamstwo! Powiedziałam prawdę, nic nie zbujałam!

- Taaa - warknął, zaplatając ręce na piersiach. - Widziałem, jak na niego patrzyłaś, kiedy wszedłem z Brendą do pizzerii. I widziałem, jak z nim rozmawiałaś, kiedy przyjechałem po ciebie do obozu pierwszego dnia. Lecisz na Tysona tak, jak on na prochy!

- Wcale nie! I skąd jesteś taki pewny, że Scott ćpa?

- Daj spokój, Tralain. Wszyscy o tym wiedzą - rzucił z pogardą.

- Wszyscy o tym „mówią, ale nikt tego nie wie na pewno! Może dasz sobie spokój i przestaniesz szkalować Scotta? Stać cię tylko na powtarzanie wrednych plotek!

- Dopadło cię na całego. - B.J. pokręcił głową. - Mówią, że miłość jest ślepa i widać mają rację. Chciałem cię ostrzec przed Tysonem dla twojego własnego dobra, ale jeśli nie chcesz słuchać głosu rozsądku... No więc, kogo wybierasz, Tralain? Jego czy mnie?

- Dobranoc, B.J. - powiedziałam, owijając się ciaśniej szlafrokiem. - A właściwie, to żegnaj. - I odwróciwszy się na pięcie, wróciłam do domu.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy obudziłam się następnego dnia, poczułam się jak ptak, wypuszczony z klatki na wolność. B.J. nudził mnie już od dłuższego czasu, ale brakło mi odwagi, by z nim zerwać. Dobrze, że to on dokonał ostatecznego cięcia. Teraz, kiedy byłam wolna, nie mogłam się doczekać soboty. Musiałam przyznać, że B.J. miał rację pod jednym względem - rzeczywiście po uszy zadurzyłam się w Tysonie i nie obchodziły mnie plotki. Na myśl o spędzeniu z nim całego dnia aż skakałam z radości i dzięki temu tydzień minął mi jak z bicza strzelił.

Srebrzyste kombi zatrzymało się pod moim domem punktualnie o ósmej trzydzieści w sobotę. Scott zapakował do auta mój rower i ruszyliśmy na wybrzeże. Włączył magnetofon i przez jakiś czas śpiewaliśmy do wtóru. Nie pamiętam, kiedy czułam się taka szczęśliwa.

- Już dawno nie byłam w Seaside - powiedziałam.

Ta nadmorska miejscowość przypominała wesołe miasteczko, aż kipiała radością. Pełno w niej było restauracji serwujących potrawy z ryb, sklepów z pamiątkami i salonów gier.

- Bardzo mi brakuje tego miejsca - przyznał Scott. - Zaraz po przenosinach do Forest Grove obaj, i Danny, i ja, okropnie za nim tęskniliśmy. Myślałem nawet, że nigdy się nie pogodzę z przeprowadzką.

Za szybami samochodu migały wysokie stosy bali i przydrożne bary dla kierowców ciężarówek. Po godzinie zjechaliśmy z szosy na drogę wiodącą do Seaside. Na skraju miasta Scott zatrzymał się na parkingu z widokiem na plażę.

- Chodźmy spacerkiem do Wodnego Świata - zaproponował. - To niedaleko, a morskie powietrze mnie otrzeźwi. Zeszłej nocy bardzo późno poszedłem spać.

Zastanawiałam się, co takiego robił, ale nie zapytałam.

- Świetny pomysł - rzuciłam tylko z uśmiechem. - Nogi mi ścierpły od siedzenia w samochodzie.

- Możemy się przejść po promenadzie. - Scott wskazał

betonowy chodnik ciągnący się równolegle do plaży. Wziął mnie za rękę; serce zatrzepotało mi w piersiach, bo miał tak ciepłą dłoń i z taką czułością mnie trzymał.

Omiotłam spojrzeniem plażę. W części położonej wyżej rosły sosny o dziwacznych kształtach, powykręcane przez wiatr, bliżej linii wody leżały kawałki drewna, wyrzucone przez fale. Po prawej zobaczyłam duże domy o spadzistych dachach krytych gontem.

- Czy twój tato mieszka tu w pobliżu? - spytałam.

- Tak, to nasz dom... przepraszam, chciałem powiedzieć jego. - Scott wskazał szary budynek, otoczony rabatami czerwonopomarańczowych nasturcji. - Taty chyba nie ma - dodał, patrząc pod słońce zmrużonymi oczami.

- Nie widzę jego samochodu na podjeździe, pewnie ma obchód w szpitalu. Jest najlepszym oftalmologiem w naszej części stanu. Czasem nawet wzywają go do Portland na konsultacje.

Zeszliśmy na plażę, minąwszy niską barierkę.

- Z przyjemnością poznałabym twojego ojca - rzuciłam.

- Danny na urodzinach pokazał mi zdjęcie, na którym jest z waszym dziadkiem.

- Może zajrzymy tam później. - Scott kopnął nadłamaną muszlę, która napatoczyła mu się pod nogę. - Danny nadal bardzo tęskni za ojcem. Mnie też go brakuje, ale kiedy już się spotykamy, to niezbyt się dogadujemy. Przesadza z troską o mnie. Czasem zachowuje się tak, jakbym ciągle był w wieku Danny'ego. - Patrząc przed siebie, nagle zmienił temat. - O rany, jaki ocean jest dziś piękny!

- Rzeczywiście - przyznałam, podziwiając wdzięczny lot stada mew ponad przezroczystymi, zielonymi falami.

Scott zaproponował, żebyśmy pobiegli na wydmy, więc ruszyliśmy pod górę. Chociaż zwolnił kroku, żebym mogła za nim nadążyć, i tak solidnie się zadyszałam, nim wdrapaliśmy się na najwyższą z wydm. Zmęczona, opadłam na piasek obok niego.

- Co ty wyprawiasz? - wydyszałam. - Chcesz mnie wykończyć?

- Kiedy mnie złomotałaś na korcie w poniedziałek wieczorem, uznałem, że jesteś w doskonałej formie - droczył się, łaskocząc mój policzek długim źdźbłem trawy zerwanej na plaży.

- Jestem, ale nic nie wspomniałam, że się przygotowuję do maratonu!

- Ja też się zmęczyłem - przyznał, chociaż nawet się nie zadyszał. - Odpocznijmy parę minut, a potem pójdziemy do Wodnego Świata.

Leżeliśmy więc obok siebie, patrząc na białe grzywy fal łamiących się pod nami, a letnie słońce paliło nas w plecy.

- Kiedy byłam mała i przyjeżdżałam tu z rodzicami, wdrapywałam się na wydmę i udawałam, że dosiadam wielbłąda. - Uśmiechnęłam się na to wspomnienie.

- Ciesz się, że naprawdę nie jechałaś na wielbłądzie. - Roześmiał się. - Kiedy trzy lata temu całą rodziną wybraliśmy się do Egiptu, wszyscy dosiedliśmy wielbłądów. Myślałem, że to bydlę wytrzęsie ze mnie duszę!

- Szczęściarz. - Nie sądzę, żebym kiedykolwiek zwiedzała Egipt, nie wspominając już o jeździe na wielbłądzie.

- Nigdy nic nie wiadomo. - Scott wstał i wyciągnął rękę, żeby pomóc mi się podnieść. - Ale jeśli zaraz nie wyruszymy, to nie dotrzesz nawet do Fort Stevens.

Zbiegliśmy w dół po zboczu wydmy i dalej szliśmy wzdłuż plaży, aż dotarliśmy do Wodnego Świata. Już w holu usłyszałam szczekanie fok. Scott pomachał ręką i przywitał się z Margie, kobietą sprzedającą bilety w kasie.

- Cześć, Scott. Listonosz w niedzielę idzie na długi spacer, a ty w wolny dzień zaglądasz do nas? - Uśmiechnęła się szeroko. - Lepiej się tu za długo nie kręć, bo ktoś cię zagoni do pracy.

- Nie ma mowy! Pokażę tylko Tralain najciekawsze rzeczy i zmykamy. Wiele na dziś zaplanowaliśmy.

Weszłam za Scottem do środka, korytarzem dotarliśmy do basenu dla fok. Wszędzie unosił się silny rybi zapach. Zobaczyłam stado lśniących, mokrych zwierząt, niektóre były ciemnoszare w ciemniejsze cętki, inne brązowoczarne w jaśniejsze

plamki. Siedziały na płaskich głazach wystających z wody. Wszystkie szczekały jak szalone, bo duża grupa podekscytowanych dzieciaków rzucała im kawał ki śledzi.

Szybko wyjęłam z plecaczka aparat fotograficzny i zaczęłam pstrykać zdjęcia. Foki zachowywały się jak doświadczeni aktorzy, klaskały płetwami i pływały na grzbietach.

Wtem Scott wrzasnął:

- Uważaj! - Chwycił mnie za ramię i pociągnął do tyłu, ale było już za późno. Oboje zostaliśmy dokładnie opryskani fontanną wody.

Dzieciaki wybuchnęły szalonym śmiechem, mnie też to rozbawiło.

- To stara sztuczka Berniego - wyjaśnił Scott, wskazując na przepływającą obok wielką szarą fokę z miną niewiniątka na wąsatym pysku.

- Czy wszystkie mają imiona? - spytałam.

- No pewnie. I każda ma inną osobowość, zupełnie jak ludzie. Prowadzimy szczegółowe notatki na temat każdej z nich. - Podał mi kawałek śledzia. - Proszę, właściwie możemy nagrodzić Berniego za jego złe zachowanie.

Rzuciłam rybę w kierunku Berniego, ale inna foka chwyciła łup.

- Patrz, co za łobuziak! - Zachichotałam. - Bardzo mi się podobają ich lśniące, czarne oczka. Wyglądają tak, jakby się uśmiechały.

- I pewnie się śmieją. - Scott rozpromienił się. - Ale powinniśmy już ruszać. W Wodnym Świecie jest mnóstwo interesujących rzeczy do obejrzenia.

Spacerowaliśmy od akwarium do akwarium, podziwiając ukwiały, ośmiornice i różne gatunki egzotycznych ryb.

- Nurkujesz? - spytałam Scotta, gdy patrzyliśmy, jak pasiasty okoń podpływa do szklanej tafli, mierzy nas krytycznym spojrzeniem i wdzięcznym ruchem zawraca w głąb akwarium.

- Kiedyś mnóstwo nurkowałem, ale teraz już nie.

- Dlaczego?

Ale zamiast odpowiedzieć, Scott zwrócił moją uwagę na kolejny zbiornik pełen morskich stworzeń.

Kiedy obejrzeliśmy już wszystko, wyszliśmy na zewnątrz, mrużąc oczy przed oślepiającym, jasnym słońcem w zenicie.

- Zgłodniałaś? - spytał Scott.

- A wiesz, właściwie, to tak - przyznałam. - Wręcz konam z głodu!

W pobliskim barze sałatkowym kupiliśmy parę kanapek i soki owocowe. Drugie śniadanie zjedliśmy siedząc na ławce w pobliżu promenady. Kiedy skończyliśmy, Scott spojrzał na zegarek.

- Możemy sprawdzić, czy tato wrócił do domu. Zajrzymy tam na chwilę, a potem ruszymy do parku.

Tylne drzwi domu pana Tysona były otwarte i weszłam za Scottem do nowocześnie urządzonej kuchni. Pod sufitem, między halogenowymi reflektorkami, wisiała imponująca kolekcja wypolerowanych miedzianych rondli.

- Moja mama dałaby się porąbać za taką kuchnię. - Byłam pod wrażeniem.

- Mama ją gruntownie przerobiła na parę miesięcy przed naszą wyprowadzką - wyjaśnił Scott z ponurym grymasem.

- Niestety, ani ojciec, ani jego dziewczyna nie przepadają za gotowaniem. - Podszedł do drzwi prowadzących na korytarz i zawołał: - Hej! Jest tam kto?

- Scott? - rozległ się męski głos. - To ty?

- Tak, tato, chciałbym ci kogoś przedstawić.

- Poczekaj, zaraz tam będę.

Scott wysunął dla mnie krzesło, które stało obok ciężkiego drewnianego stołu, jakby przyniesionego prosto od rzeźnika.

- Może jesteś głodna, Tralain? Te kanapki były bardzo skromne.

- Och, nie. Naprawdę się nimi najadłam.

- A ja nie. Mam jeszcze mnóstwo wolnego miejsca. Zobaczę, co tu dają. - Zaglądając do lodówki zapytał:

- A może chcesz coś do picia? Sok owocowy? Mrożona

herbata?

Zgodziłam się na mrożoną herbatę i z rozbawieniem przyglądałam się, jak Scott przygotowuje napój dla mnie, a potem bierze się do robienia gigantycznej kanapki. Właśnie usiadł naprzeciwko mnie i zaczął pochłaniać ją z apetytem, kiedy do kuchni wszedł doktor Tyson. Wyglądał zupełnie tak samo jak na zdjęciu: szczupły, z przerzedzonymi jasnymi włosami, krótko przyciętą brodą i wąsami.

- Witaj, synu - powiedział z chłodnym uśmiechem.

- Widzę, że oddajesz się swemu ulubionemu zajęciu i znów coś jesz.

- I cóż w tym dziwnego? - Scott wzruszył ramionami.

- Przecież rosnę. Tato, to jest moja znajoma, Tralain Martinson. Jest opiekunką Danny'ego na obozie letnim.

Wymieniłam z doktorem Tysonem uścisk dłoni.

- Miło mi cię poznać, Tralain - powiedział. - Mieszkasz w pobliżu Radosnej Polany?

- Właściwie tak. W Forest Grove, to parę mil od obozu.

- Ach tak. - Unosząc brwi spojrzał na Scotta. - Nie pracujesz dziś?

- Nie. Mam wolne. Właśnie skończyłem pokazywanie Tralain ciekawostek w Wodnym Świecie, a resztę dnia spędzimy w parku Fort Stevens - wyjaśnił Scott między jednym a drugim kęsem. - Mamy rowery w kombi i chcemy pojechać szlakiem wzdłuż południowego falochronu, a potem do wraku tego starego żaglowca.

- Czy przypadkiem trochę nie przesadzasz, synu? - spytał pan Tyson, marszcząc czoło. - Nic zapominaj, że czeka cię niemal dwugodzinna jazda do Forest Grove. A może planujesz nocowanie tutaj?

- Nie. - Scott poczerwieniał z gniewu. - Wracamy do domu. Daj mi spokój, dobrze, tato'? Mam siedemnaście lat, a nie siedem!

- Uspokój się, synu - rzucił ostro ojciec. - Powiedziałem tylko...

- Słyszałem, co powiedziałeś. - Scott wstał i zwrócił się do

mnie: - Chodź, Tralain, znikamy.

Zmieszana tą niemiłą sceną, wstałam z krzesła.

- Hmm... miło mi było pana poznać - wymamrotałam i poszłam za Scottem do drzwi.

Nie odezwał się ani słowem, wyjeżdżając z miasteczka i skręcając na główną szosę. Ja też milczałam. Scott nie odrywał wzroku od drogi, a kiedy zerknęłam na niego kątem oka, zauważyłam na jego twarzy wyraz zdecydowania.

- Przepraszam cię za to spięcie, Tralain - odezwał się wreszcie. - Już ci wspominałem, że niezbyt się dogaduję z tatą.

- Nie ma sprawy - odparłam, starając się mówić lekkim, swobodnym tonem. Ale byłam poruszona i bardzo zaintrygowana nadmierną opieką, jaką doktor Tyson starał się otaczać syna. Wydawało mi się jednak, że Scott zbyt gwałtownie zareagował na słowa ojca, i zastanawiałam się, dlaczego.

ROZDZIAŁ 7

Pół godziny później Scott zatrzymał samochód na parkingu parku stanowego. Wyjęliśmy rowery i już po chwili pedałowaliśmy utwardzoną trasą wijącą się przez las. Ptaki śpiewały, a chłodne, przepojone wonią żywicy powietrze pieściło mi policzki, szybko więc zapomniałam o doktorze Tysonie i nieprzyjemnej sprzeczce.

- Już niedaleko do południowego falochronu! - zawołał Scott przez ramię, gdy mknęliśmy na łeb, na szyję w dół po zboczu. - Stamtąd już plażą pokonamy te parę mil do wraku Petera Iredale'a.

Trasa prowadziła przez wąski wiadukt nad leśną drogą, a potem duktem wiodącym przez gęsty las. Kiedy zjechaliśmy niżej, las się przerzedził i znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni pokrytej trawą, z której tu i ówdzie wyrastały skarłowaciałe, dziwacznie powykręcane krzewy. Teraz jechaliśmy na zachód. Musiałam zmrużyć powieki, bo ostre słońce oślepiało i łzawiły mi oczy.

Parę minut później usłyszałam huk fal, a wkrótce zobaczyłam plażę. Scott zjechał na pobocze i zatrzymał rower. Stanęłam obok.

- Coś ci się stało? - spytałam.

- Nie. - Pokręcił głową. - Chciałem tylko włożyć okulary przeciwsłoneczne. Od takiego blasku dostaję strasznego bólu głowy. - Z kieszeni koszulki polo wyciągnął okulary i włożył je. - No, od razu lepiej. Chcesz się przejść po plaży?

- Też pytanie!

Poprowadziliśmy rowery wzdłuż szlaku, aż dotarliśmy do stojaka, tam je zostawiliśmy i ruszyliśmy przez plażę. Wielki kawał drewna wyrzucony przez fale zapraszał do odpoczynku. Usiedliśmy na pniu, zdjęłam buty, skarpetki i wbiłam gołe palce w jedwabisty, ciepły piasek.

- Jak bosko! Czuję się absolutnie cudownie! - Uśmiechnęłam się do Scotta.

Siedział na tle ciemnobłękitnego nieba i czystej, zielonej wody, co jeszcze bardziej podkreślało jego urodę. Pod wpływem

impulsu wyjęłam aparat fotograficzny i ustawiłam go na zbliżenie.

- Ej! Co robisz? - spytał ze śmiechem. - Nie jestem foką!

- Może mi nie uwierzysz, ale zauważyłam - powiedziałam, robiąc zdjęcie. - Rany, mam nadzieję, że wszystko dobrze ustawiłam. Dawniej miałam prymitywny aparat, jak dla małpy, ale na urodziny dostałam od rodziców ten cud techniki i jeszcze go nie rozgryzłam do końca. Myślę o zapisaniu się na kurs fotograficzny jesienią...

- Czy nikt ci nie wspomniał, że za dużo mówisz? - przerwał mi Scott. Przesunął okulary na czubek głowy i nim się obejrzałam, przyciągnął mnie ku sobie, a jego wargi dotknęły moich.

Zadrżałam od stóp do głów. Pocałunki B.J. nigdy tak na mnie nie działały! Zamknęłam oczy i zarzuciwszy Scottowi ramiona na szyję, całowałam go jak szalona. Nagle sama się zawstydziłam swojej reakcji i szybko się odsunęłam. W końcu była to nasza pierwsza randka.

- M... może lepiej zaczniemy szukać wraku - wyjąkałam, sięgając po skarpetki i buty. - Chyba robi się późno.

- Jak sobie życzysz.

Wróciliśmy po rowery i poszliśmy z nimi po plaży aż do parkingu, obok szczątków Petera Iredale'a. Przyczepiliśmy rowery łańcuchami do słupków i przespacerowaliśmy się do kadłuba na pół zakopanego w piasku.

- To angielski żaglowiec, który został wyrzucony na plażę w czasie sztormu w dziewięćset szóstym roku - wyjaśnił mi Scott.

Właśnie nastawiałam aparat i już miałam zrobić następne zdjęcia, kiedy usłyszałam, jak ktoś woła:

- Hej, Scott! Co za niespodzianka! Co ty tu robisz? Zobaczyłam, że zbliżają się do nas dwaj chłopcy i dwie dziewczyny. Wszyscy byli bardzo opaleni i ubrani w stroje kąpielowe, a chłopcy dźwigali wypchane torby plażowe i przenośną chłodziarkę.

- Co za spotkanie! - Scott uśmiechnął się od ucha do ucha. - Nie widziałem was chyba ze sto lat. - Przedstawił mnie znajomym z dawnej paczki z liceum w Seaside. Dziewczyna w bikini o

kręconych, rudych włosach nazywała się Pepper, brunetka w jednoczęściowym kostiumie - Shelly; a chłopcy - Ron i Geoffrey.

- Mamy góry jedzenia - powiedziała Pepper, wyjmując z torby paczuszki meksykańskich chipsów i precli. Shelly sięgnęła do chłodziarki po puszki coli, a tymczasem chłopcy rozłożyli na piasku parę plażowych koców. - Może się do nas przyłączycie?

- Zgadzasz się, Tralain? - spytał Scott. Potaknęłam głową z uśmiechem. Usadowiliśmy się na kocach, popijając z puszek, i puściliśmy w koło paczuszki z chipsami. Przyjaciele przekazywali Scottowi najnowsze wiadomości i ploteczki. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby był tak szczęśliwy i rozluźniony, ale ja czułam się coraz bardziej obco. Zauważyłam, że Shelly usiadła bardzo blisko niego i rzucała prowokacyjne spojrzenia, flirtując z nim na potęgę. Czy coś było między nimi, zanim Scott wyprowadził się z Seaside? A może nadal coś jest? - pytałam siebie w duchu.

Wiedziałam, że nie mam prawa do zazdrości, ale nie mogłam zwalczyć tego uczucia. I gdy wokół mnie toczyła się ożywiona rozmowa, zapatrzyłam się w milczeniu na ocean, udając, że fascynują mnie fale rozbijające się o plażę. Z całego serca chciałam znaleźć się w drugim końcu kraju.

Po chwili Scott, Ron i Geoffrey pobiegli na płaską część plaży, żeby zagrać w ringo. Wspaniale, pomyślałam, teraz mam bawić towarzyską konwersacją Shelly i Pepper. I o czym ja mam z nimi rozmawiać?

Ale dziewczęta szybko znalazły ciekawy temat. Odnosiły się do mnie sympatycznie i powoli się rozluźniłam.

- Scott to świetny chłopak - powiedziała Pepper, smarując kremem do opalania ramiona i długie, szczupłe nogi.

- Strasznie nam było smutno, kiedy się wyprowadził. Chodzicie do tej samej szkoły? Jak się nazywa?

- Forest High - odpowiedziałam. - Na jesieni pójdę do przedostatniej klasy, a Scott do ostatniej.

- Dobrze mu idzie w szkole?

- O tak. W zeszłym roku nie chodziliśmy na te same zajęcia, ale moja przyjaciółka Brenda była z nim w grupie i twierdzi, że

Scott jest zabójczo dobry z biologii.

- Zawsze taki był - stwierdziła Shelly. - Właściwie to był zabójczy prawie ze wszystkiego.

Jej spojrzenie pobiegło na plażę do grających chłopców. Scott właśnie wyjątkowo zgrabnie chwycił gumowe kółko i cisnął je w stronę Geoffreya.

- Moja mama twierdzi, że Scott cierpi na przerost ambicji, i absolutnie się z nią zgadzam - odezwała się Pepper. - Nie chodzi tylko o najlepsze oceny. On po prostu musi być najlepszy we wszystkim, co robi. Nigdy się nie poddaje, sporo ludzi z naszej paczki nie mogło za nim nadążyć. Zupełnie, jakby był na amfie albo czymś takim.

Aż się zachłysnęłam. Czyżby plotki na temat Scotta zaczęły się jeszcze w czasach, gdy mieszkał w Seaside?

- Byłam bardzo związana ze Scottem - powiedziała z rozmarzeniem Shelly. - Widywaliśmy się codziennie po szkole i jeszcze w trakcie weekendów.

A więc miałam rację! Coś rzeczywiście było między Scottem i Shelly.

- Chodziliśmy razem nurkować - ciągnęła. - Ten sport wciągnął Scotta na całego. Aż pewnego dnia postanowił go rzucić. - Zaśmiała się urywanym, niemiłym śmiechem.

- Tego samego dnia postanowił rzucić i mnie.

- Dlaczego? - wymknęło mi się.

- A któż to wie? - Shelly wzruszyła ramionami. - Potem doszłam do wniosku, że właściwie powinnam się była tego spodziewać. Scott jest uważany za chłopaka, który najpierw rozkocha w sobie dziewczynę, a potem od niej odchodzi.

Aż się skuliłam na te słowa. Dowiedziałam się o nim czegoś zupełnie zaskakującego. Shelly rzuciła mi krótkie, ostre spojrzenie.

- Od dawna się umawiacie? - spytała obcesowo.

- Och, to nic poważnego - odparłam lekkim tonem. Nie chciałam zdradzić przed tymi dziewczętami, jak wiele Scott dla mnie znaczy. - Chociaż razem chodzimy do Forest High, to

poznałam go zaledwie parę tygodni temu, kiedy przyjechał po brata na letni obóz, na którym pracuję. Rozmawialiśmy o jego rodzinnej miejscowości i dziś mnie tu przywiózł, żeby mi pokazać te okolice.

- Posłuchaj mojej rady i nie wpakuj się na całego - powiedziała Shelly. - Tak, jak mówiła Pepper, Scott to ekstra chłopak, ale jeśli się w nim zakochasz, to złamie ci serce.

- Shelly! - zawołała ostrzegawczo Pepper. - Chłopcy wracają!

Właśnie podbiegli do koców i padli obok nas, grzebiąc w chłodziarce w poszukiwaniu coli. Kiedy Scott skończył swoją puszkę, ujął mnie za rękę.

- Tralain, możemy już iść? Na nas już czas, trzeba wracać do domu.

- Skoro chcesz, to ruszamy - odpowiedziałam pogodnie, chociaż wcale się tak nie czułam. Włożyłam skarpetki i buty, a potem wstałam.

- Cześć, Tralain. Fajnie, że się spotkałyśmy - powiedziała Shelly.

- Ja też się cieszę. - Pepper uśmiechnęła się. - A ty, Scott, przestań się chować w tych swoich lasach.

- Może byś tak spotkał się ze mną i Goffem któregoś dnia po pracy w klubie Męska Gra? - zaproponował Ron.

- Świetna myśl - zgodził się Scott. - Zadzwonię do was.

I pożegnawszy się ze znajomymi Scotta, poszliśmy we dwoje do rowerów, rozpięliśmy kłódki przy łańcuchach i wyruszyliśmy w drogę powrotną.

Pedałowanie w górę, na szczyty wzgórz, wymagało znacznie większego wysiłku niż zjeżdżanie w dół, więc oboje oszczędzaliśmy siły jadąc w milczeniu, co akurat bardzo mi odpowiadało. W uszach ciągle brzmiały mi słowa Pepper: „Zupełnie jakby był na amfie albo czymś takim". I nadal słyszałam zdanie Shelly: „Scott jest uważany za chłopaka, który najpierw rozkocha w sobie dziewczynę, a potem od niej odchodzi... Jeśli się w nim zakochasz, złamie ci serce".

Wszyscy, z którymi rozmawiałam, nawet te dzisiaj poznane

dziewczyny, ostrzegali mnie przed Scottem. Nie chciałam wierzyć w to, co o nim mówili, ale coraz trudniej przychodziło mi ignorowanie ich przestróg. Co powinnam zrobić? Zapomnieć o tym cudownym pocałunku, podziękować Scottowi za miłą wycieczkę i grzecznie odmówić kolejnego spotkania? Ale gdy spyta mnie, dlaczego nie chcę się z nim widywać, to co mam odpowiedzieć?

Gdy dotarliśmy do parkingu, na którym Scott zostawił samochód, nadal nie podjęłam decyzji. Kiedy wkładał rowery do bagażnika, między drzewami zalśniły długie, złote promienie, zwiastując boski zachód słońca. Czułam zapach hamburgerów i parówek smażonych nad ogniskiem, bo rozlokowane w pobliżu rodziny przygotowywały kolację. Rozbawione dzieciaki ganiały wokół stołów, uginających się pod ciężarem piknikowych zapasów, i radośnie do siebie pokrzykiwały.

- Rany, ale bym teraz zjadł parę hamburgerów - rzekł Scott, gdy wsiadaliśmy do samochodu. Przekręcił klucz w stacyjce. - Niedaleko stąd jest całkiem porządny barek dla kierowców. Może się tam zatrzymamy i wrzucimy coś na ząb?

- Jesteś jak worek bez dna - zażartowałam bez przekonania. - Jeszcze nie zgłodniałam, ale popatrzę, jak jesz. - I oparłszy głowę o tył siedzenia, na chwilę zamknęłam oczy.

- Zmęczona? - spytał Scott.

- Trochę - przyznałam. Uniosłam powieki; droga i las przed prawym okiem były dziwnie zamazane. - Do diabła!

- Co się stało?

- Chyba właśnie wypadło mi jedno szkło kontaktowe - wyjaśniłam, patrząc w dół i przeciągając ostrożnie dłońmi po ubraniu. Szkła nie znalazłam, więc zaczęłam obmacywać podłogę między stopami.

- W schowku przed tobą jest latarka - poradził Scott. Wyjęłam ją i włączyłam. Z całych sił wpatrywałam się w jasne kółko na czarnej wykładzinie. Po chwili coś lekko błysnęło.

- Mam je! - zawołałam triumfalnie.

Niemal złożyłam się wpół i wodząc nosem po ziemi

sięgnęłam, żeby podnieść szkło kontaktowe. I nagle zamarłam w pół ruchu. Pod fotelem leżały rozsypane małe białe tabletki.

ROZDZIAŁ 8

Oto dowód na to, że okropne plotki na temat ćpania Scotta są prawdą! Nigdy w życiu nie byłam tak przerażona i przejęta. Nawet za sto lat nie zapomnę widoku tych małych białych tabletek.

Kiedy się prostowałam, po głowie krążyło mi tysiące myśli. Drżącymi rękami wyjęłam z plecaczka pojemnik na szkła kontaktowe i włożyłam je do środka. Postanowiłam wyjąć także i drugie szkło, to z lewego oka, bo męczyła mnie różnica w widzeniu.

- Ty to masz szczęście - powiedział Scott. - Moi znajomi noszący szkła przy takich okazjach gubili je na amen.

- Tak... to rzeczywiście szczęście - mruknęłam.

- I co, nie zapniesz pasów? - spytał, gdy tak siedziałam, patrząc niewidzącym wzrokiem w przednią szybę. - Ten autobus nie drgnie, póki tego nie zrobisz.

- Oczywiście, przepraszam. - Z wysiłkiem wsunęłam końcówkę pasa w uchwyt i dopiero wtedy Scott zapalił silnik.

W zupełnym milczeniu wjechaliśmy na główną szosę i przebyliśmy spory odcinek drogi. W końcu Scott spojrzał na mnie kątem oka.

- Hej, Tralain, foka odgryzła ci język? - zażartował. - Kiedy na plaży powiedziałem, że za dużo mówisz, to nie sądziłem, że potraktujesz to poważnie.

W ustach zaschło mi tak bardzo, że musiałam kilka razy przełknąć ślinę, nim się odezwałam.

- N... nie czuję się zbyt dobrze. Boli mnie brzuch... Może złapałam grypę. - Nie było to zupełne kłamstwo, bo mój żołądek tak się zacisnął, że naprawdę zaczęło mnie mdlić.

- Założę się, że to z głodu. Od drugiego śniadania minęło mnóstwo czasu, a takie chipsy na plaży są nic niewarte - stwierdził. - Już niedaleko do tego baru, o którym ci wspomniałem.

- Nie, dzięki, Scott. Nie chcę nic jeść. Zawieź mnie jak

najszybciej do domu. Proszę - wymamrotałam.

A jeśli wziął kilka z tych tabletek? - myślałam gorączkowo. A jeśli za chwilę odleci? Robi się ciemno... Może stracić panowanie nad kierownicą i oboje zginiemy!

Scott jeszcze raz spojrzał na mnie i w świetle reflektorów samochodu jadącego z przeciwka zobaczyłam na jego twarzy wyraz troski.

- Przykro mi, że się nie czujesz zbyt dobrze - powiedział. - Wiesz co, mam pomysł. Już prawie dotarliśmy do Seaside. Może byśmy pojechali do mojego ojca? Mogłabyś się na chwilę położyć albo zadzwonimy do twoich rodziców i zanocujemy, jak to nam ojciec proponował. Obiecuję, że się z nim nie pokłócę - dodał z gorzkim uśmiechem - Nie, Scott. - Pokręciłam gwałtownie głową. - Chcę wrócić do domu. Proszę, jedźmy do Forest Grove.

- Dobrze, jak wolisz. - Wzruszył ramionami. Przymknęłam oczy i położyłam głowę na oparciu fotela.

Chciałam, by Scott sądził, że drzemię, choć byłam zupełnie przytomna. Potrafiłam myśleć tylko o jednym: o tych małych białych tabletkach, a im bardziej o nich myślałam, tym bardziej czułam się przerażona i zagubiona.

Wiedziałam, że mam przed sobą jedyne rozsądne rozwiązanie: nigdy więcej nie spotykać się ze Scottem. Ale coraz bardziej mi na nim zależało! Jak mogę odwrócić się do niego plecami i pozwolić, by zrujnował sobie życie? Przecież musi być jakiś sposób udzielenia mu pomocy, nim będzie za późno. Ale jaki? Co mogłabym zrobić?

Miałam wrażenie, że upłynęły wieki, nim Scott wreszcie zatrzymał samochód przed moim domem. Wyjął rower z bagażnika i zaniósł go do garażu, a potem odprowadził mnie do drzwi frontowych. Położył mi dłonie na ramionach i głęboko zajrzał w oczy. W świetle lampy na werandzie jego jasne włosy lśniły jakby były z czystego złota.

- Bardzo mi przykro, że nasza wycieczka tak niemiło się skończyła - powiedział.

- Mnie też - wyznałam z głębi serca.

- Mam nadzieję, że szybko dojdziesz do siebie, Tralain - ciągnął. - Zadzwonię jutro, żeby się dowiedzieć, jak się czujesz. Może się umówimy na przyszły weekend? Zgoda?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Z jednej strony z całej duszy chciałam się spotykać ze Scottem, ale równocześnie potrzebowałam czasu, żeby uporządkować splątane myśli, więc milczałam. I kiedy próbował mnie pocałować na dobranoc, szybko odsunęłam głowę, tak że jego usta wylądowały na moim policzku.

- Tralain, na pewno nic się nie stało? - zapytał i z tonu jego głosu wyczułam, że zrobiłam mu przykrość. - Oczywiście, poza tym, że dopadło cię jakieś choróbsko?

- Nie... Jeśli rzeczywiście mam grypę, to nie chcę, żebyś ją ode mnie złapał.

- Dobrze. - Uniósł moją twarz i powiódł opuszkami palców po policzku. - No to dobranoc. Zadzwonię rano.

- Dobranoc, Scott - wyszeptałam, bo coś mnie ścisnęło za gardło. - I dzięki za fantastyczny dzień. - Skłamałam, bo ten dzień był wspaniały, póki cały mój świat nagle nie rozpadł się na kawałki.

Mocowałam się z drzwiami, kiedy odchodził wolno w stronę samochodu. Zbierające się pod powiekami łzy przesłaniały mi wzrok i nie mogłam znaleźć dziurki od klucza. Kiedy wreszcie mi się udało, wemknęłam się do środka i jak strzała pobiegłam do swojego pokoju. Dopiero tam coś we mnie pękło i wybuchnęłam płaczem.

Przez większość nocy zrozpaczona przewracałam się z boku na bok, nim wreszcie zmęczona zasnęłam o świcie. Kiedy Scott zadzwonił późnym rankiem, jeszcze spałam, więc zostawił mamie wiadomość, że znów zatelefonuje po południu. I co ja mu wtedy powiem? Czy potrafię udawać, że wszystko jest w zupełnym porządku?

Powtórzyłam rodzicom to samo kłamstwo o grypie i przesiedziałam całą niedzielę w domu, posłusznie łykając aspirynę, przynoszoną przez mamę, i pijąc dużo płynów. Bardzo chciałam podzielić się z kimś moim problemem - a raczej

problemem Scotta - ale po raz pierwszy w życiu nie potrafiłam nikomu się zwierzyć: ani Brendzie, ani rodzicom. Mogłam łatwo przewidzieć reakcję przyjaciółki. Powie: „A nie mówiłam!”. Mama i tato zaś pewnie wpadną w panikę i surowo zabronią jakichkolwiek spotkań ze Scottem.

Dzień ciągnął się jak guma do żucia, a ja z każdą chwilą umacniałam się w przekonaniu, że muszę znaleźć jakiś sposób udzielenia Scottowi pomocy. Przecież musi być ktoś, do kogo mogłabym się zwrócić. Może jego rodzice? Wprawdzie właściwie nie znałam doktora Tysona, ale może powinnam zwierzyć się pani Tyson? Albo skontaktować się z panią Caldwell, psychologiem szkolnym. Uznałam to za najlepszy pomysł, póki nie przypomniałam sobie, że na cały lipiec wyjechała z grupą nauczycieli na wycieczkę do Europy.

Tymczasem mimo wszystko tliła się we mnie iskierka nadziei. Może pochopnie wyciągnęłam wnioski, bo zaślepiły mnie te okropne, powtarzane przez wszystkich plotki? Może jednak jest jakieś zupełnie niewinne, logiczne wyjaśnienie obecności tych małych białych tabletek? Przecież w końcu widziałam je w kombi mamy Scotta, a nie w jego czerwonym sportowym samochodzie. Może pani Tyson regularnie przyjmuje jakieś lekarstwo i te pigułki należały do niej? Postanowiłam, że kiedy Scott zadzwoni po raz drugi, spróbuję to wyjaśnić i odkryć prawdę.

Ale Scott nie zadzwonił tego dnia. Na próżno czekałam. Telefon milczał też w poniedziałek i we wtorek. Gdy nadeszła środa, byłam bardzo przygnębiona i zupełnie nie wiedziałam, co mam o tym wszystkim sądzić.

- Tralain, jesteś ponura jak gradowa chmura, wyraźnie potrzebujesz rozrywki - powiedziała Monika, która również pracowała jako pomocnik opiekuna na obozie.

Po południu, gdy wszyscy uczestnicy obozu rozjechali się już do domów, we trzy razem z Brendą sprzątałyśmy chatę do zajęć plastyczno - technicznych.

- I to natychmiast - wtrąciła Brenda. - Żałujesz zerwania z B.J., co?

Już wcześniej jej powiedziałam, że z nim skończyłam, ale ani słowem nie wspomniałam o problemach ze Scottem.

- Nie, po prostu mam inne zmartwienia. - Pokręciłam głową.

- No to się ich szybko pozbądź - rzuciła pogodnie Monika. - W piątek urządzam imprezę i was zapraszam. W ubiegły weekend oczyścili nam basen i rodzice powiedzieli, że mogę zaprosić setki osób. Zobaczycie, będzie ekstra zabawa!

- Dzięki, Moniko, ale chyba nie przyjdę. - Westchnęłam.

- Zupełnie nie mam ochoty na imprezy.

- Och, daj spokój, Tralain - nalegała Brenda. - Będą tam wszyscy pomocnicy z obozu i mnóstwo ludzi ze szkoły.

Monika podparła się pod boki i odrzuciła w tył długie, jasne włosy.

- Odmowy nie przyjmuję do wiadomości! - oświadczyła.

- A poza tym potrzebuję pomocy w planowaniu imprezy, a obie jesteście w tym dobre. Jak tylko skończymy z tym bałaganem tutaj, spotykamy się u mnie z Paulą Turner i Trish Arnold. Zabierz się z Brendą, ustalimy wszystko dokładnie, siedząc w gorącej wodzie. Upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu: wypoczniemy za wszystkie czasy, bo to najlepszy sposób na relaks, a przy okazji odwalimy kawał porządnej roboty.

Zawahałam się. Szczerze mówiąc poczułam wielką ochotę na gorącą kąpiel. Od soboty miałam wrażenie, że cała jestem zawiązana na supeł.

- No dobrze, zgadzam się na dzisiejsze spotkanie - powiedziałam. - Ale wątpię, żebym przyszła na imprezę w piątek.

Parę minut później już siedziałyśmy z Brendą w samochodzie. Wpadłyśmy na chwilę do siebie, żeby zabrać kostiumy kąpielowe, a potem dotarłyśmy do domu Moniki. Mieścił się w zachodniej części miasta, gdzie na łagodnych pagórkach rozsiadły się duże i eleganckie wille, otoczone zielenią.

Kiedy się zjawiłyśmy, Monika, Paula, Trish i Sally Spellfield, dziewczyna z naszej szkoły, już siedziały w gorącej wodzie, zajadając słone paluszki i popijając colę. Szybko przebrałyśmy się w kostiumy i wskoczyłyśmy do basenu. Aż

westchnęłam z rozkoszy, gdy ciepła woda zabulgotała wokół mnie. Jak dobrze, że tu przyszłam, pomyślałam. Planując imprezę Moniki, przynajmniej przez parę godzin przestanę się martwić i głowić nad zachowaniem Scotta.

- No dobrze, skoro już wszystkie jesteśmy, czas się zabrać do roboty - powiedziała Monika. - Impreza ma się zacząć o siódmej i potrwać do północy. Przewidywane są tańce, pływanie w basenie i pokaz sztucznych ogni. Zaprosiłam około dwudziestu osób i każdy może przyjść z partnerem, więc potrzebujemy mnóstwo jedzenia. Macie jakieś pomysły?

Zaczęłyśmy wymieniać różne potrawy, a potem omawiałyśmy udekorowanie domu i ogrodu. Paula spisywała wszystko w marszczącym się od wilgoci notesie. Sally zaproponowała, żeby zrobić „iluminaria": świeczki umieszczone w małych papierowych torebeczkach do połowy napełnionych piaskiem poustawia się wokół basenu i zapali już po zmroku. Monika uznała to za świetny pomysł.

Kiedy omówiłyśmy wszelkie szczegóły planowanej imprezy, rozmowa zeszła na chłopców.

- A ty, Bren, kogo chcesz zaprosić? - spytała Trish.

- Na pewno nie B.J! - oświadczyła moja przyjaciółka, wywracając oczami z udanej rozpaczy. - Tralain namówiła mnie, żebym w zeszłym tygodniu poszła z nim na koncert, bo sama chciała się wybrać na urodziny Danny'ego Tysona. Kłóciliśmy się przez cały czas. A na dodatek zmusił mnie, żebyśmy wcześniej wyszli!

- No, mam nadzieję, że go nie zapraszasz - rzuciła Paula z chytrym uśmieszkiem - bo ja już to zrobiłam, a on się zgodził. - I patrząc na nas obie, dodała: - Zupełnie was nie rozumiem, B.J. to fantastyczny chłopak!

- O właśnie, Tralain, skoro już padło imię Danny'ego Tysona - wtrąciła Monika, zręcznie zmieniając temat - to Brenda mówiła nam, że spotykasz się z jego starszym bratem. Zaprosisz Scotta na imprezę?

Rzuciłam ostre spojrzenie na Brendę; zaczerwieniła się.

- No, przecież byłaś z nim w Zakalcu w zeszły poniedziałek - tłumaczyła się Brenda. - A kiedy zadzwoniłam do ciebie w sobotę, twoja mama powiedziała, że wyjechałaś ze Scottem na cały dzień.

Kątem oka zauważyłam, że Sally i Trish wymieniają znaczące spojrzenia.

- Więc przychodzisz ze Scottem, tak? - upierała się Monika.

Wpadłam w prawdziwą złość, ale postarałam się opanować.

- Powiedziałam ci już, Moniko, że pomogę ci zorganizować imprezę, ale na nią nie przyjdę. - Udało mi się odezwać spokojnym głosem. - Zresztą nawet gdybym przyszła, to też nie wiem, czy akurat Scotta bym zaprosiła. Wcale ze sobą nie chodzimy. Najlepszy dowód, że od paru dni do mnie nie dzwonił.

- Wcale się nie dziwię - rzuciła Paula. - Biorąc pod uwagę jego sytuację, lepiej, żeby przez jakiś czas siedział cicho.

- Co takiego masz na myśli? - warknęłam.

- Naprawdę nie słyszałaś? - spytała Sally ze szczerym zdumieniem. - Całe miasto o tym mówi.

- O czymże to mówi całe miasto? - dopytywałam się oszołomiona.

- Scott wpadł w poważne tarapaty - wyjaśniła Trish. - W poniedziałek zatrzymała go policja i znów odebrano mu prawo jazdy.

ROZDZIAŁ 9

Byłam w stanie takiego szoku, że nie pamiętam, jak wyszłam z wody i się ubrałam. Jakoś zdołałam to zrobić, bo gdy wreszcie oprzytomniałam, siedziałam w samochodzie, obok Brendy, która wiozła mnie do domu. Poczułam, że nie zdołam dłużej tłamsić w sobie bólu, obaw i żalu. Rozpaczliwie pragnęłam z kimś porozmawiać, a Brenda akurat była obok.

Powiedziałam jej wszystko, nawet o tym wspaniałym pocałunku na plaży, a gdy skończyłam, łzy jak groch płynęły mi po twarzy.

- Ta cała sytuacja doprowadza mnie do szaleństwa. Wszystko jest takie skomplikowane, Bren! Nie mam bladego pojęcia, co zrobić.

Brenda zatrzymała samochód przed moim domem.

- O rany, rzeczywiście ciężka sprawa - przyznała ze współczuciem. Pokiwałam głową, wdzięczna, że nie dodała: „A nie mówiłam, że tak będzie?". Po chwili wahania moja przyjaciółka spytała: - Jak myślisz, zakochałaś się w Tysonie?

- Na całego. - Westchnęłam. - Wiem, że spotkałam go zaledwie dwa tygodnie temu, ale od tego dnia, gdy po raz pierwszy przyjechał po Danny'ego, myślę o nim bez przerwy. Nigdy jeszcze nie czułam czegoś takiego do chłopaka i z całego serca chciałam, żeby te plotki okazały się fałszywe! Och, Bren! Ale nie mogę dłużej sama siebie oszukiwać. Widziałam te tabletki, a teraz na dodatek zadarł z policją i znów stracił prawo jazdy. Muszę znaleźć sposób, żeby mu pomóc!

- Chyba mogę sobie wyobrazić, co czujesz - powiedziała Brenda. - W gruncie rzeczy nie wierzyłam w te pogłoski. Ale dlaczego do razu wyobrażasz sobie najgorsze? Nie pomyślałaś, że to mogły być zwykłe pigułki, jakie kupuje się w aptece bez recepty?

- Wierz mi, Bren, myślałam już o wszystkim - rzuciłam ze znużeniem. - Tak bardzo chciałam usprawiedliwić Scotta, uwierzyć w jego niewinność, że nawet zastanawiałam się, czy

wprost nie zapytać go o te tabletki. Mogły należeć do jego matki.

- To w ogóle nie przyszło mi do głowy! - zawołała Brenda. - Dlaczego go nie spytałaś?

- Bo jak już ci mówiłam, od soboty ani nie widziałam Scotta, ani z nim nie rozmawiałam. Zadzwonił w niedzielę rano, ale jeszcze spałam. Powiedział mamie, że odezwie się później, ale nie dotrzymał słowa.

- I nie przeszło ci przez myśl, żeby podnieść słuchawkę i samej do niego zadzwonić? - spytała Brenda w niebotycznym zdumieniu. - Konasz z niepokoju, choć zwykła rozmowa telefoniczna mogłaby wyjaśnić wszystko raz na zawsze? Czasem naprawdę się o ciebie martwię, Tralain.

- Bren, spróbuj mnie zrozumieć - błagałam. - To nie takie proste. Co, twoim zdaniem, mam powiedzieć? „Cześć, Scott. Chciałam tylko zapytać, czy te tabletki, które parę dni temu widziałam w samochodzie twojej matki, należą do niej? A może są twoje, bo wszyscy mówią, że ćpasz, i ja też tak uważam?”

- No dajże wreszcie spokój! - jęknęła Brenda. - Musisz to z niego wyciągnąć delikatnie, podczas rozmowy. Zacznij od tego, jak ci przykro, że nie odebrałaś jego telefonu w niedzielę, chciałaś zaraz oddzwonię, ale okropnie się czułaś...

- Ten numer nie przejdzie. - Potrząsnęłam głową. - Scott na pewno usłyszał od Danny'ego, że już w poniedziałek pracowałam w obozie. Tak czy inaczej, nie byłam aż tak chora, żeby nie mieć sił na podniesienie słuchawki.

- Racja. - Brenda wpadła w zadumę, ale po chwili jej twarz się rozjaśniła. - Mam pomysł! Szukasz pretekstu, żeby do niego zadzwonić, tak? No to masz idealny powód. Zaproś go na imprezę do Moniki! Kiedy już tam dotrzecie, znajdziesz spokojny kąt i porozmawiasz z nim w cztery oczy. To znacznie lepsze od zadawania pytań przez telefon!

- Czyś ty z byka spadła? - Popatrzyłam na nią zaskoczona. - Po pierwsze, skąd ci przyszło do głowy, że Scott będzie chciał ze mną pójść? A po drugie, jeśli nawet, to kto będzie prowadził samochód? Zresztą on i Norris mogli już równie dobrze wyjechać

do Newport. Scott wspomniał mi, że chcą odwiedzić wuja Norrisa. Sama widzisz, że dzwonienie do niego nie ma najmniejszego sensu.

- To, co mówisz, nie ma sensu - rzuciła gładko Brenda.

- Tak się złożyło, że parę dni temu wpadłam na Norrisa w centrum handlowym. Zaczęliśmy rozmawiać i wspomniał coś o tej wyprawie. Wyjeżdżają dopiero w przyszłym tygodniu, co oznacza, że prawie na pewno zastaniesz Scotta w domu. I wiesz co? - Jej oczy błyszczały radością.

- Kiedy bliżej poznałam Norrisa, okazało się, że wcale nie jest dziwakiem. Wręcz przeciwnie, to świetny chłopak, a na dodatek przystojny. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała z błyskiem w oku: - Właśnie wpadłam na pomysł, jak rozwiązać twój drugi problem.

- O czym ty mówisz? - Zupełnie straciłam wątek wywodu Brendy, bo mnie zaskoczyły jej wieści.

- Martwiłaś się, kto was zawiezie na imprezę, tak? Norris będzie dobry? Zaproszę go i założę się, że mi nie odmówi! Wybierzemy się we czwórkę, on może prowadzić. Zaraz do niego zadzwonię, a reszta należy do ciebie; sama łatwizna, tylko jeden telefon do Scotta.

Zaczęłam się wahać. Może rzeczywiście pójdzie mi łatwo z tym zaproszeniem, jeśli rzucę pomysł, żebyśmy wybrali się razem z jego najlepszym kolegą i moją przyjaciółką? Brenda miała rację również w drugiej sprawie: może szybciej dojdę prawdy o tych tabletkach, jeżeli porozmawiam ze Scottem w cztery oczy.

- Bren, sama już nie wiem. - Nadal nie potrafiłam wyzbyć się wątpliwości. - Słyszałaś, co dziewczyny o nim mówiły? Jeżeli każdy na imprezie będzie szeptał za plecami Scotta albo traktował go jak trędowatego, to nie wytrzymam tego.

- Na pewno nie - zapewniła Brenda. - Porozmawiam z Moniką i resztą paczki. Dziewczyny czasem bywają bezmyślne i, rzecz jasna, kochają plotki, ale nie są okrutne.

- Skrzywiła się, spojrzawszy na zegarek na tablicy rozdzielczej. - Ojej, już po szóstej! Moi starzy się wściekają, gdy

spóźniam się na kolację. Muszę zmykać, i to na łeb, na szyję. Zadzwonię do ciebie dziś wieczorem, zaraz po rozmowie z Norrisem, dobrze?

- Zgoda...

Szybko wysiadłam z samochodu i ruszyłam ku domowi. Kiedy weszłam do kuchni, mama wyjmowała z piekarnika brytfannę ze swoją specjalnością - pieczonym kurczakiem - a tato doprawia! sałatę.

- Mam nadzieję, że oboje jesteście głodni - powiedziała mama z uśmiechem. - Zrobiłam porcję jak dla całej armii.

- Świetnie, umieram z głodu - odparł ojciec.

Przepadam za pieczonym kurczakiem, ale tak się dener-wowałam czekającą mnie rozmową ze Scottem, że gdy zajęliśmy miejsca przy stole, przełknęłam tylko parę kęsów. Nie chciałam, żeby rodzice się o mnie martwili, więc powiedziałam, że objadłam się precelkami u Moniki.

Właśnie skończyłam wkładanie brudnych talerzy do zmywarki, kiedy zadzwonił telefon. Brenda triumfalnie zaanonsowała, że wszystko poszło wspaniale. Norris przyjął jej zaproszenie i uznał, że pójście we czwórkę, ze mną i Scottem, to fantastyczny pomysł. Bardzo chętnie zgodził się zawieźć nas wszystkich. Reszta należała do mnie.

No, śmiało, do dzieła, powtarzałam sobie, śpiesząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. Na liście uczestników obozu odszukałam numer do domu Tysonów. Usiadłam przy biurku i chyba z dziesięć minut gapiłam się w telefon. Wreszcie zebrałam się na odwagę i wystukałam numer. Scott podniósł słuchawkę po trzecim sygnale.

- Tak, słucham? - usłyszałam jego głos. Serce zabiło mi w piersiach jak szalone.

- Cz... cześć Scott, tu Tralain - wykrztusiłam, mając nadzieję, że mówię w miarę normalnym tonem.

- O, Tralain! Cześć! Co u ciebie?

- W porządku. - Postanowiłam z miejsca przejść do rzeczy. - Wiem, że jest trochę późno, ale zostałam zaproszona na imprezę i

jeśli nie zaplanowałeś jeszcze nic na piątek, to chętnie poszłabym z tobą. Moja przyjaciółka, Brenda, wybiera się z Norrisem Millerem, więc pomyślałyśmy, że moglibyśmy jechać we czwórkę jego samochodem.

- Wspaniały pomysł, Tralain! - zawołał entuzjastycznie Scott. - Dzięki za zaproszenie. A przede wszystkim dziękuję, że w ogóle chcesz ze mną rozmawiać. Nie zadzwoniłem, tak jak ci obiecałem - dodał, śmiejąc się nerwowo. - Miałem zamiar... ale sprawy trochę się skomplikowały. O której zaczyna się impreza?

Podałam godzinę i dorzuciłam, że wszyscy mają przynieść stroje kąpielowe, bo główną atrakcją wieczoru ma być pływanie w basenie.

Po krótkiej chwili milczenia Scott oznajmił:

- Przyniosę spodenki, ale chyba sobie daruję moczenie. Wtedy przypomniałam sobie opowieść Shelly o tym, jak nieoczekiwanie Scott porzucił nurkowanie. Czyżby w ogóle przestał pływać? A jeśli tak, to dlaczego? Pytania do Scotta mnożyły się w zastraszającym tempie, ale to nie była właściwa pora, by je zadawać.

- Norris przyjeżdża do mnie w piątek, żeby ustalić szczegóły wyprawy do Newport - ciągnął. - W takim razie najlepiej będzie, jeśli najpierw zabierzemy Brendę, a potem, kwadrans przed siódmą wpadniemy po ciebie.

- Zgoda. To do zobaczenia I cieszę się, że idziemy razem.

- Miło mi, że mnie zaprosiłaś. Tęskniłem za tobą, Tralain.

W jego głosie było tyle czułości i ciepła, że aż zadrżałam. Tak bardzo kochałam Scotta! Gdybym tylko umiała go namówić, by mi zaufał i wyznał prawdę! Nawet jeśli jego problemy były wyjątkowo poważne, razem na pewno zdołalibyśmy je pokonać.

Fantastycznie wyglądasz! - zawołał na mój widok Scott, gdy w piątkowy wieczór zajęłam miejsce obok niego na tylnym siedzeniu starego, zniszczonego samochodu Norrisa.

Uśmiechnęłam się i zaczerwieniłam, zadowolona, że nowa letnia sukienka na cieniutkich ramiączkach wywołała zamierzony efekt.

- Dzięki, ty też ujdziesz w tłoku - zażartowałam, choć uważałam, że jest zabójczy! Miał na sobie białe dżinsy i jasnobłękitna koszulę, dokładnie w kolorze oczu. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wyglądał lepiej.

- Cześć, Tralain. - Ciemnowłosy chłopak siedzący za kierownicą odwrócił się w moją stronę. - Nazywam się Norris Miller.

Brenda wybuchnęła śmiechem.

- Wyobraź sobie, że ona sama już na to wpadła. Skoro dokonaliście oficjalnej prezentacji, to może pojedziemy? Nie wiem, jak wam, ale mnie śpieszy się na imprezę!

W trakcie drogi Brenda i Norris prześcigali się w wesołych uwagach, a Scott dorzucał co jakiś czas coś dowcipnego. Ja też próbowałam włączyć się do rozmowy, ale im bliżej byliśmy domu Moniki, tym większe ogarniało mnie zdenerwowanie. Dziś wszystko się rozstrzygnie. Czy zdołam dowiedzieć się prawdy o Tysonie? A jeśli tak, to czy potwierdzą się moje najgorsze obawy? Może jednak nadejdzie kres moich zmartwień i niepokoju?

Parę minut później Norris zaparkował swego gruchota między tuzinem innych samochodów, stojących na podjeździe domu Sheldonów. Jeszcze zanim wysiedliśmy, do naszych uszu dobiegła donośna muzyka; ostre, rockowe nagranie płynęło z głośników ustawionych na tarasie przy basenie. Kiedy okrążyliśmy dom, stwierdziliśmy, że zabawa trwa w najlepsze. Tańczyło już sporo par, ale większość gości, rozebrana do kostiumów, szalała w basenie. Rozległ się głośny wybuch śmiechu, bo właśnie jeden z chłopców skoczył z wieży i wpadł do wody „na deskę", czyli z wielkim pluskiem.

- Rany, ale ekstra pomysł! - zawołał Norris. - Skok i plusk! Chodź, Brenda, lecimy do wody.

Podeszła do nas Monika. Wyglądała uroczo w różowej sukience z odsłoniętymi ramionami.

- Cieszę się, że mimo wszystko postanowiłaś się zjawić, Tralain. Miło mi cię widzieć, Tyson - dodała z uśmiechem. - Jeśli się decydujecie na pływanie, to dziewczęta przebierają się u mnie

w pokoju, a chłopcy w szatni przy basenie.

Pośpieszyła przywitać parę, która właśnie nadeszła.

- Spotkamy się przy basenie za parę minut, co, Norris?

- zaproponowała Brenda. - A jak ty, Tralain? Też wskakujesz ze Scottem do wody?

- Jeszcze nie - odparłam, kładąc na leżaku kostium owinięty w ręcznik. - Ale nie czekajcie na nas, potem się do was przyłączymy.

Scott dołożył swój ręcznik do mojego i podeszliśmy do stołu z jedzeniem. Był przykryty obrusem w biało - czerwoną kratkę i piętrzyły się na nimi tace z trójkącikami pizzy, owoce, sery, chrupki i sosy oraz inne smakołyki tak przygotowane, by porcja starczała na jeden gryz.

- Mógłbym pochłonąć z tuzin takich - oświadczył Scott wkładając do ust kawałek pizzy.

- Wyglądają kusząco, ale ja wezmę się za owoce.

Gdy zajadałam winogrona, Scott spróbował chyba większości przygotowanych potraw. Wkrótce podeszło do nas parę znajomych osób.

- Cześć, Tralain, niezła impreza, co? - zagadnęła Suzanne Mueller. Mówiła do mnie, ale patrzyła na Scotta. Z nieskrywanym zainteresowaniem.

- Suzanne, chyba nie znasz Scotta - powiedziałam.

- To starszy brat Danny'ego Tysona.

- Wiedziałam, że kogoś mi przypominasz! - zawołała, uwodzicielsko trzepocząc rzęsami. - Danny to skóra zdarta z ciebie. Ja też pracuję jako pomocnik opiekuna na obozie - wyjaśniła.

- Tobie też Danny zatruwa życie? - spytał Scott z uśmiechem.

- Och nie, skądże. - Suzanne zaśmiała się. - Zajmuję się grupą rozchichotanych dziewczynek. Niestety, żadna z nich nie ma przystojnego, starszego brata - dodała zalotnie.

Scott spiekł raka; krępowało go zachowanie tej dziewczyny.

Pewnie by dłużej z nim flirtowała, ale podszedł do nas Greg Wilkinson, opiekun grupy dwunastolatków na obozie, i poprosił ją

do tańca.

Gdy odeszli, zamachała do nas Brenda, szalejąca w basenie, a Norris zawołał:

- Wskakujcie! Woda jest świetna!

Zerknęłam pytająco na Scotta, ale on tylko się do mnie uśmiechnął i przecząco pokręcił głową.

- Jest mnóstwo czasu, możemy popływać później. Teraz chciałbym z tobą zatańczyć.

I ująwszy mnie za rękę, poprowadził w głąb tarasu, gdzie wirowały inne pary. Muzyka się zmieniła i zamiast dynamicznego rock'n'rolla rozległa się spokojna, nastrojowa melodia. Scott przyciągnął mnie blisko do siebie, a ja zarzuciłam mu ręce na szyję i przymknęłam oczy, gdy kołysaliśmy się w wolnym rytmie piosenki. Czułam ciepły dotyk jego dłoni, bicie jego serca tuż przy moim i byłam niezwykle szczęśliwa. Wydawało mi się, że trafiłam do nieba. Na parę minut zapomniałam o całym świecie i wiedziałam tylko jedno: jak wiele Scott dla mnie znaczy.

Ale już po chwili wróciły dawne niepokoje i moje szczęście pękło niczym bańka mydlana. Jeżeli te tabletki w samochodzie należały do Scotta i rzeczywiście był od nich uzależniony, to czy potrafię go przekonać, by szukał pomocy, nim będzie za późno? Kiedy piosenka się skończy, zaproponuję, byśmy poszukali cichego miejsca i porozmawiali na osobności. Muszę poznać prawdę, nawet gdyby miała się okazać najgorsza.

Ostatnia nuta rozpłynęła się w powietrzu i Scott niechętnie wypuścił mnie z objęć.

- Posłuchaj... - zaczęłam, ale w tym momencie pojawiła się zaaferowana Trish z dużym kartonowym pudłem w objęciach.

- Tralain, czy mogłabyś mi pomóc? - spytała. - Zaraz zrobi się ciemno i Monika chce, żebyśmy zapaliły świece. Miałam to robić z Brendą, ale wygląda na to, że gdzieś znikła z Norrisem.

- Co masz w tym pudle? - zagadnął Scott, zerkając ciekawie do wnętrza. - Kolekcjonujesz torebki papierowe?

- No, prawie. Wypełniłyśmy je do połowy piaskiem i umieściłyśmy w nich świeczki - wyjaśniła Trish.

- Ach, wiem... Luminaria. - Scott pokiwał głową. - Moja mama czasem je robi, gdy urządza przyjęcie pod gołym niebem. Po zapaleniu wyglądają fantastycznie. Chętnie ci pomogę, daj mi to. - Wziął pudło od Trish. - Tylko powiedz, gdzie je ustawiać, a już się tym zajmiemy z Tralain.

Trish obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Dzięki! Wiesz co, Scott, jesteś zupełnie inny, niż myślałam...

Gdyby wzrok mógł zabijać, Trish padłaby trupem na miejscu pod moim morderczym spojrzeniem.

- To znaczy... Myślałam, że jesteś niższy... Masz przynajmniej z metr osiemdziesiąt, co? - trajkotała gorączkowo. - Fajnie musi być takim wysokim ludziom... Oczywiście, fajnie jest chłopakom. Znałam kiedyś dziewczynę, która miała metr osiemdziesiąt trzy. Była ładna i bardzo miła, ale zupełnie nie mogła znaleźć sobie chłopca, bo była wyższa od większości facetów w szkole...

Idąc wokół basenu, wyrzucała z siebie potok zdań niczym karabin maszynowy pociski, a my tymczasem ustawialiśmy torebki. Kiedy skończyliśmy, słońce schowało się za wzgórza. Scott znalazł pudełko zapałek i jedną po drugiej zapaliliśmy świece.

- Jak to ładnie wygląda - powiedziałam, gdy razem wpatrywaliśmy się w miękkie, pełgające płomyki.

- Tak, ekstra.

- Nadal nie masz ochoty na pływanie? - spytałam z wahaniem.

- Może później, ale nie oglądaj się na mnie, Tralain. Jeśli chcesz, to wskakuj do basenu, nie musisz na mnie czekać.

- Wiem, że nie muszę. - Uśmiechnęłam się. - Ale chcę. Poza tym aż w nim czarno od ludzi. Poczekam, aż część wyjdzie. Może poszukamy kąta do rozmowy? - zaproponowałam.

- Tam? - Scott wskazał parę leżaków, stojących przy płytkim krańcu basenu. Było tam spokojnie, bo wszyscy chlapali się i bawili w przeciwległej części. Wprawdzie wolałabym, żeby nasza

rozmowa odbywała się w mniej publicznym miejscu, ale w ostateczności mogło być i tu.

W tym momencie ktoś włączył reflektory. W basenie i na tarasie zrobiło się jasno jak w dzień. Scott i ja zamrugaliśmy. Oślepieni ostrym światłem, w pierwszej chwili nie zauważyliśmy pary biegnącej do wody.

- Ręce do góry! - zawołał chłopak.

Odwróciłam się na pięcie i zobaczyłam B.J., goniącego Paulę. Kiedy wskakiwała z piskiem do basenu, B.J. odepchnął Scotta i rzucił się za nią do wody. Odsunęliśmy się szybko, ale i tak ochlapali nas dokładnie.

- Co za bałwan - mruknął Scott.

- Mnie to mówisz? - Westchnęłam, marszcząc czoło. - B.J. nie grzeszy nadmiarem kultury.

- A więc to był B.J.? - Popatrzył na mnie zaskoczony. Potaknęłam głową.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale zastanawiam się, czy nadal z nim chodzisz?

- Nie! - odparłam z naciskiem. - Dziś zobaczyłam go pierwszy raz od tamtego poniedziałku, pamiętasz, gdy wpadliśmy na siebie w Zakalcu.

Scott ujął mnie za rękę i ścisnął znacząco.

- Bardzo się z tego cieszę - powiedział, obdarzając mnie tak ciepłym i promiennym uśmiechem, że nogi się pode mną ugięły.

Przeciskając się przez tłum, dotarliśmy do leżaków po drugiej stronie basenu, ale miejsce przestało być zaciszne. Spora grupa rozgościła się na schodkach w pobliżu, a jakaś para tuż obok rzucała do siebie wielką plażową piłkę. To nie miejsce na poważną rozmowę, pomyślałam. A może tylko szukam pretekstu, by ją odwlec? Może boję się odpowiedzi, które padną? W każdym razie z wielką ulgą słuchałam o planowanej wyprawie do Newport.

- Wyjeżdżamy z Norrisem w przyszłą środę - mówił Scott. - Kiedy tam dotrzemy, powinien się zacząć wielki spływ łososia. Wprost nie mogę się tego doczekać! Norris nas zawiezie, ale

bierzemy mój samochód, bo jego gruchot może rozpaść się w każdej chwili.

Wstrzymałam oddech, czekając, czy wspomni, że po raz drugi odebrano mu prawo jazdy. Ale nie powiedział o tym ani słowa.

- Byłaś w Newport? - spytał.

- Tylko raz. Pojechałam tam z rodzicami cztery lata temu. Pamiętam łodzie rybackie wracające do portu z połowu. Niektórzy rybacy sprzedawali ryby prosto z pokładu.

- Mają ciężką i niebezpieczną pracę - stwierdził Scott.

- Parę lat temu zginął jeden z wujków Norrisa. Jego łódź poszła na dno podczas wielkiego sztormu.

Zadrżałam.

- Jak to dobrze, że mój ojciec sprzedaje ubezpieczenia.

- Westchnęłam. - Może to nie najciekawsze zajęcie, za to na pewno bezpieczne.

- „Nie wierzę własnym oczom!" - zaśpiewała fałszywie Brenda, podchodząc do nas z Norrisem. Nasi przyjaciele trzymali się za ręce. Już się przebrali, ale włosy jeszcze im nie wyschły po zabawach w basenie. - Czemu nie wchodzicie do wody? Co się z wami dzieje? Boicie się rozpuścić?

- Nie mieliśmy ochoty na walkę w tłumie o kawałek miejsca - wyjaśniłam.

- Właśnie - potwierdził Scott. - Nie sposób pływać, kiedy w wodzie jest głowa przy głowie.

- No to teraz macie szansę - rzucił Norris. - Ojciec Moniki właśnie zaczął barbecue. Gdy tylko goście zwęszą hamburgery i parówki, będziecie mieli cały basen do własnej dyspozycji.

- Mniam... Pięknie pachnie. - Scott wciągnął przez nos apetyczne zapachy, unoszące się w powietrzu. - Przypomniałeś mi, że konam z głodu. - Wstał z leżaka i pociągnął mnie za sobą. - Chodź, Tralain. Poszukamy barbecue.

- To znaczy, że wcale nie masz zamiaru pływać?

- spytałam.

Widać w moim głosie brzmiało rozczarowanie, bo zawahał

się, a potem rzekł z uśmiechem:

- Pewnie, że poskaczę do wody. Czemu by nie? Najemy się po kąpieli.

- Jeśli cokolwiek zostanie po moim ataku frontalnym na stoły - zażartował Norris.

- To na razie - rzuciła przez ramię Brenda, bo już pędzili z Norrisem w stronę, z której napływały kuszące wonie.

Poszukaliśmy ze Scottem naszych kostiumów i poszliśmy się przebrać.

Kiedy znowu zjawiłam się w ogrodzie, ubrana w nowy kostium z czarnej, świetnie opinającej figurę lycry, przekonałam się, że Norris miał rację. Wszyscy tłoczyli się wokół stołu, gdzie Monika pomagała ojcu podawać gościom hamburgery i parówki. W wodzie był tylko Scott, rytmicznie sunący wzdłuż obramowania basenu.

Ustawiłam się na krawędzi i zgrabnie wskoczyłam na główkę; wynurzyłam się obok Scotta. Natychmiast przyciągnął mnie do siebie i nasze usta połączył pocałunek, słodki, mimo że wargi odrobinę smakowały chlorem.

- Przez cały wieczór czekałem na tę chwilę - wyszeptał mi prosto do ucha.

- Ja też - odpowiedziałam cicho. Od szalonego szczęścia zakręciło mi się w głowie. Teraz już nic nie miało znaczenia, liczyła się tylko ta chwila; chciałam być w ramionach Scotta, kochać go i całować. Wszystko się dobrze ułoży, powtarzałam sobie rozmarzona, gdy znów się pocałowaliśmy. Przesadzam i robię z igły widły, ot co. Przecież bym zauważyła, gdyby był zaćpany! Na pewno!

Kiedy się odsunęliśmy od siebie, zauważyłam, że część gości przysiadła z talerzami wokół basenu i przyglądała się nam z zainteresowaniem. Scott też to spostrzegł.

- Chyba sobie poskaczę - powiedział, odrzucając z czoła mokre włosy. - Chcesz pójść ze mną?

- Nie, nie mam ochoty, tylko popatrzę.

Wyszedł z basenu i ruszył po drabince wiodącej na wieżę.

Dryfowałam, leżąc na plecach; nie odrywałam wzroku do szczupłego, muskularnego ciała Scotta, który już podchodził na kraj deski. Parę razy podskoczył w miejscu, żeby wyczuć odbicie, a potem wyprysnął w górę i idealnym łukiem spłynął w dół, wchodząc w wodę, jak nóż w masło.

Przewróciłam się na plecy i popłynęłam ku niemu.

- Wspaniały skok! - zawołałam. - Może powinieneś się zastanowić nad udziałem w olimpiadzie?

Chyba nie usłyszał, bo płynął w przeciwnym kierunku zagarniając wodę mocnymi, zdecydowanymi ruchami.

- Hej! - zawołałam głośniej, kierując się w jego stronę.

- Moim zdaniem, wykonałeś wspaniały skok!

Nie odpowiedział, błyskawicznie opuścił basen i chwycił ręcznik leżący na pobliskiej ławeczce. Dopiero teraz odwrócił się do mnie. Na jego twarzy malowało się napięcie.

- Tralain, wychodzę natychmiast.

- Dobrze - powiedziałam z uśmiechem. Też wyszłam w wody i postąpiłam ku niemu. - Nie możesz się doczekać jedzenia, co? To się przebierzmy i za parę minut spotkajmy przy stole.

- Nic nie rozumiesz. - Scott zmierzył mnie twardym spojrzeniem. - Wracam do domu. Muszę znaleźć Norrisa.

Wpatrywałam się w niego zdumiona.

- Ale... impreza jeszcze się nie skończyła - wyjąkałam.

- Co...

- Proszę cię tylko o jedno - wpadł mi w słowo Scott. - Nie zadawaj żadnych pytań. Muszę natychmiast znaleźć Norrisa!

Nim zdołałam cokolwiek wykrztusić, odbiegł dziwnym, zataczającym się krokiem i zniknął w szatni. Zdumiona, pobiegłam za nim i zaczęłam walić pięściami w drzwi.

- Scott! - zawołam - Co się stało?

Nie odpowiadał. Czekałam z drżeniem serca. Po chwili wypadł już ubrany, ale kiedy wyciągnęłam rękę, żeby go złapać za ramię, minął mnie jak powietrze. Zaskoczona i oszołomiona patrzyłam, jak przepycha się przez tłum gości i dopada Norrisa. Nim się obejrzałam, już ich nie było.

ROZDZIAŁ 10

Co się tu dzieje? - spytała Brenda, podbiegając do mnie. - Norris spokojnie wsuwał burgera, gdy przyleciał Scott z krzykiem, że musi wracać do domu.

Nadal oszołomiona, tylko pokręciłam głową.

- Nie mam pojęcia, co się tu dzieje. - Zagryzłam wargi i szybko zamrugałam oczami, żeby powstrzymać łzy, które kręciły mi się pod powiekami. - Wszystko było takie cudowne, a przynajmniej ja tak sądziłam, i nagle Scott powiedział, że wychodzi. Kiedy próbowałam się dowiedzieć dlaczego, rzucił tylko, żebym nie zadawała pytań. A potem się ulotnił.

Otaczali nas goście, którzy widzieli scenę między mną i Scottem, a teraz zerkali z zaciekawieniem. Brenda objęła mnie i całą drżącą poprowadziła jak najdalej od nich, po schodach, które z jasno oświetlonego tarasu wiodły na rozległy, tonący w ciemnościach trawnik. Tam się zatrzymałyśmy.

- Zapytałaś go o te tabletki? - zagadnęła, gdy upewniła się, że nikt nas nie słyszy. - Może to go zdenerwowało?

- Nie, nie pytałam. Miałam zamiar, ale nie wyszło. I wcale nie był zły, a przynajmniej na takiego nie wyglądał. Sprawiał wrażenie... sama nie wiem... chyba zdesperowanego. Jakby za wszelką cenę chciał uciec ode mnie, od tej imprezy i wszystkich ludzi! - Zakryłam oczy dłońmi i z całych sił starałam się nie płakać. - Och, Bren - szepnęłam, nagle przerażona - a jeśli w szatni, przed wyjściem na basen wziął jakieś prochy? Może to one tak na niego działały? Może tak się zaćpał, że zupełnie nie wiedział, co robi?

- O rany! - jęknęła Brenda. - To całkiem możliwe. - I po krótkim namyśle dodała: - Posłuchaj, Tralain. Norris powiedział, że jeszcze tu wróci. Jest najlepszym przyjacielem Scotta, może ci wyjaśni, co się z nim dzieje?

- T... tak, m... może. - Szczękałam zębami tak mocno, że z trudem formowałam słowa. Nie wiem, czy drżałam z niepokoju, czy pod wpływem wieczornego chłodu, ale dygotałam jak osika.

- Chyba powinnaś się ubrać - poradziła mi Brenda. - Jesteś cała mokra, z włosów ciekną ci strumyczki. Chodź, wrócimy do domu i coś włożysz.

- D... dobry pomysł. Ale t... ty idź pierwsza i odwróć j... jakoś uwagę I... ludzi. N... nie chcę, żeby mnie o cokolwiek pytali - wykrztusiłam, szczękając zębami.

Brenda szybko odeszła. Odczekawszy parę minut, ruszyłam za nią. Już miałam rozsunąć szklane drzwi wiodące do wnętrza domu, gdy dobiegł mnie znajomy głos.

- I gdzież jest twoje bóstwo? - spytał kpiąco B.J. Odwróciłam się. Mierzył mnie ironicznym spojrzeniem, więc zmusiłam się do uśmiechu.

- Masz na myśli Scotta? Zapomniał czegoś i wyjechali z Norrisem. Zaraz powinni wrócić.

- Naprawdę w to wierzysz? - B.J. wybuchnął niemiłym śmiechem. - Biedna Tralain! Wszyscy poza tobą z punktu go rozgryźli. Ten facet to zwyczajny, ordynarny ćpun! Pojechał szukać następnej działki, i tyle.

- Zamknij się, B. J! - warknęłam. - Sam nie wiesz, co pleciesz. Co za bzdury! - Wściekła, jednym szarpnięciem odsunęłam szklaną taflę i wpadłam do domu.

Właśnie ściągałam mokry kostium, gdy usłyszałam delikatne pukanie do drzwi sypialni Moniki.

- To ja, Bren - usłyszałam szept przyjaciółki. - Dobrze się czujesz?

- Mniej więcej. - Wejdź.

Brenda wsunęła się do środka, starannie zamykając za sobą drzwi, a potem padła na łóżko.

- Widziałam, jak cię dopadł B.J. - powiedziała. - Przykro mi, że nie mogłam pomóc ci go przegonić. Z daleka wyglądało, że zrobił ci dużą przykrość. Był naprawdę taki okropny?

- Tak, choć właściwie w normie - odparłam susząc włosy. - Zaczynam się zastanawiać, co ja takiego w nim widziałam. Czasem potrafi być naprawdę okrutny!

- Ale przynajmniej nie odważył się na zaczepki, kiedy Scott

był w pobliżu - zauważyła Brenda.

- No cóż, i z tego powinnam się cieszyć. - Wzięłam się za rozczesywanie mokrych pasm. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze i stwierdziłam, że mimo opalenizny jestem blada i wyglądam na wykończoną. Przydałaby się odrobina różu, ale nie wzięłam ze sobą żadnych kosmetyków, a poza tym i tak przestało mi zależeć na ładnym wyglądzie...

- Norris już wrócił? - spytałam, zawijając wilgotny kostium w ręcznik.

- Nie. Sama jazda zajmie mu przynajmniej pół godziny, a pewnie będzie musiał jeszcze wpaść na stację benzynową. Ten jego gruchot pije benzynę jak smok.

Nagle poraziła mnie kolejna myśl. A jeśli Scott rzeczywiście był naćpany i jakimś cudem skłonił Norrisa, żeby mu dał prowadzić? A jeśli mieli wypadek?

Ktoś zapukał do drzwi.

- Tralain? Brenda? Jesteście tam? - poznałam głos Moniki. - Właśnie przyjechał Norris i wszędzie was szuka.

Cóż za ulga! Wypadłyśmy z pokoju i popędziłyśmy korytarzem na taras. Tam czekał na nas Norris.

- Wygląda na to, że ktoś skończył mojego burgera - powiedział do Brendy. - Pewnie ty, co?

- Za skarby świata! - Uśmiechnęła się do niego. - Ale chyba go już nie znajdziesz. Skoro jesteś taki głodny, to może skusisz się na parę zwęglonych parówek?

- Norris, co się dzieje ze Scottem? - wyrzuciłam z siebie.

- Dlaczego musiał wyjść?

- Nie masz się o co martwić. - Wzruszył ramionami.

- Nie martwić się? - powtórzyłam jak echo. - Co ty, u licha, bredzisz? Moim zdaniem, mam mnóstwo powodów do zmartwienia!

- Ci... Nie tutaj! - wyszeptał, patrząc ukradkiem na otaczających nas gości.

- Świetnie! - zawołała Suzanne Mueller. - Norris wrócił!

- Biorąc pod ramię Joel Porter, spytała: - Gdzie się podziałeś

ze Scottem?

- Ee... Scott musiał szybko pojechać do domu. - Norris wyglądał na zmieszanego. - Jego ojciec kazał mu wcześniej wrócić do domu, miał się zająć młodszym bratem.

- A ja myślałam, że od rozwodu Scott i Danny mieszkają z matką. - Monika szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Przecież jego ojciec mieszka w Seaside!

- No tak. - Norris zaczerwienił się jak burak. - Chciałem powiedzieć: matka. To jego matka kazała mu wrócić i popilnować brata.

Od razu było widać, że Norris kłamie. Jego wersja zupełnie nie pasowała do tego, co ja powiedziałam B.J. Co w takim razie jest prawdą? Czyżby Norris właśnie próbował ją nieudolnie ukryć?

- Jesteście gotowe? - spytał mnie i Brendy.

- Tak - odpowiedziałyśmy zgodnie.

Przy basenie siedzieli rodzice Moniki, podziękowałyśmy im za udany wieczór i pobiegłyśmy do samochodu Norrisa.

- Wiem, że jeszcze wcześnie - rzucił wyjeżdżając na główną ulicę. - Ale jakoś nie miałem ochoty tam siedzieć. Może zanim was odwiozę do domu, zajrzymy do kręgielni Kulą w Płot na parę rundek?

- Daj spokój kręglom - rzuciłam ostro z tylnego siedzenia. - Chcę pojechać w jakieś spokojne miejsce, gdzie mi wyjaśnisz, co się stało ze Scottem. A ponieważ Bren jest moją najlepszą przyjaciółką, ona też powinna przy tym być.

Norris milczał, samochód podskakiwał, a silnik krztusił się, gdy wlekliśmy się wzdłuż cichej uliczki u stóp wzgórza.

- Nie złość się na niego - odezwał się w końcu Norris.

- Miał swoje powody, by wyjść z dzisiejszej imprezy.

- Jakie powody? - Przechyliłam się nad oparciem, zaciskając kurczowo dłonie na jego krawędzi. - Posłuchaj, Norris. Ani ja, ani Brenda nie jesteśmy takie, jak ta cała reszta szczeniaków z Forest High. Nie zamierzam rozpuszczać plotek ani powtarzać oszczerstw o Tysonie. Jeśli ma jakiś problem, to chcę mu pomóc!

Od chwili, gdy tak nagle wyszedł, umieram z niepokoju. Błagam cię, powiedz, co się z nim dzieje?

Norris dłuższą chwilę prowadził w milczeniu.

- Pewnie słyszałaś różne pogłoski... - zaczął z wahaniem. - Do mnie też dotarły, ale...

- Co za „ale”?! - zawołałam. - Czy to prawda, co o nim opowiadają?

Norris mocno zacisnął dłonie na kierownicy i zapatrzył się prosto przed siebie.

- Obiecałem Scottowi milczenie - powiedział stanowczo.

- Proszę, nie zadawaj mi już żadnych pytań. Jeśli chcesz się dowiedzieć prawdy, będziesz musiała ją usłyszeć od niego.

Tej nocy znowu miałam dziwny sen. Byłam w Zakalcu. Nigdzie nie widziałam B.J., ale pojawił się Scott, który miał ręce i nogi zakute w łańcuchy. Kiedy próbowałam go uwolnić, łańcuchy zmieniły się w okropne czarne węże, które syczały na mnie i pluły jadem. Odskoczyłam od Scotta, krzycząc na cały głos.

Obudził mnie własny krzyk. Usiadłam na łóżku; piżama i poduszka były przesiąknięte potem. To tylko koszmarny sen, powtarzałam sobie. Zapomnij o nim i śpij.

Obróciłam poduszkę na drugą stronę i leżałam, patrząc na jaśniejące za oknem niebo. Wstawał nowy dzień. Zamknęłam oczy, chciałam na powrót znaleźć się w moim śnie. Znajdę sposób, by zniszczyć węże i uwolnić Scotta. Potem się pocałujemy i objęci odejdziemy w stronę zachodzącego słońca...

Ale jak mogę mu pomóc - pomyślałam, znowu otwierając oczy - jeśli nie wiem, z czym trzeba walczyć? I jak się tego dowiem, skoro Tyson nic nie chce mówić? Może nigdy mi tego nie wyzna?

ROZDZIAŁ 11

Przez cały weekend miałam nadzieję, że Scott do mnie zadzwoni, ale telefon milczał. W poniedziałek rano stanęłam przed moimi Gwiezdnymi Wojownikami z mocnym postanowieniem, że jeśli nie mogę pomóc chłopcu, którego kocham, to przynajmniej solidnie zajmę się jego młodszym bratem i całą gromadką powierzoną mojej opiece. Do zakończenia obozu został zaledwie tydzień i zdecydowałam, że do maksimum wykorzystam każdą minutę.

Przez cały ranek moja grupa była bardzo zajęta. Chodziliśmy po lesie, rozpoznając gatunki kwiatów, krzewów i traw, które znaleźliśmy. Robiło się coraz cieplej i bardziej parno. W południe wszyscy lepiliśmy się od potu, więc zaproponowałam, żebyśmy po zjedzeniu kanapek poszli moczyć się w strumieniu.

Chłopcom bardzo się spodobał ten pomysł i nim się obejrzałam, już cała grupa chlapała się w chłodnej, orzeźwiającej wodzie. Danny, rzecz jasna, spędził większość czasu zbierając robale, które wkładał do zabranego przezornie wiaderka. Zapytał mnie, czy może je pokazać dzieciom w obozie. Zgodziłam się, ale stanowczo zapowiedziałam, że pod koniec dnia musi wszystkie odnieść do strumienia i pod żadnym pozorem nie wrzucać ich innym za koszulę.

Danny posłuchał bez słowa protestu. Wprost nie mogłam uwierzyć, że to ten sam malec, którego zaledwie trzy tygodnie temu nazywałam Diabelnym Dannym. Cieszyłam się, że mu pomogłam. Gdybym mogła to samo zrobić dla Scotta!

Po południu, gdy obozowicze zbierali się do domów, podszedł do mnie Danny.

- Tralain, czy mogę cię o coś zapytać? - poprosił nieśmiało.

- Jasne, że tak, Danny - powiedziałam. - Mów śmiało, co ci leży na sercu.

- No więc... - Wbił wzrok w ziemię i czubkiem buta kreślił na piasku jakieś wzory. - To jest sprawa osobista.

Zastanawiając się, co też to może być, uśmiechnęłam się

zachęcająco.

- Nic nie szkodzi. Wal prosto z mostu.

- Czy będziesz się spotykać z moim bratem po zakończeniu obozu? - wyrzucił z siebie jednym tchem.

To pytanie zupełnie mnie zaskoczyło.

- N... nie wiem. Danny - wyjąkałam. - To chyba zależy do Scotta.

- Od niego? Dlaczego?

- No... bo tak już jest, i tyle - wykrztusiłam z trudem.

- Ale dlaczego? - nalegał chłopiec.

- Hmm, kiedy dwoje ludzi zaczyna się spotykać, decyzja, czy chcą to ciągnąć, czy przerwać, należy do nich obojga - wyjaśniłam. Cóż za rozmowę prowadzę z tym ośmiolatkiem! - Tylko że dziewczyna ma zwykle mniej do powiedzenia.

- Jakie to głupie. - Danny w zamyśleniu zmarszczył czoło. - A poza tym Scott mówił, że w zeszłym tygodniu zaprosiłaś go na imprezę. To dlaczego nie możesz go poprosić, żeby nadal był twoim chłopakiem?

Poczułam, że się czerwienię jak piwonia.

- A dlaczego mnie o to wszystko pytasz, Danny?

- Bo w środę Scott wyjeżdża z Norrisem na całe dwa tygodnie i nie chcę, żebyś sobie znalazła innego chłopca, kiedy go nie będzie, bo jesteś najfajniejszą z jego dziewczyn i nie chcę, żebyśmy cię obaj stracili! - wypalił jednym tchem niczym karabin maszynowy.

- Och Danny! - Objęłam go i mocno przytuliłam.

- Nigdy w życiu nie słyszałam niczego równie miłego. Wyraźnie zawstydzony, szybko wywinął się z moich objęć.

- Muszę już iść - wymamrotał, odwrócił się na pięcie i uciekł.

Patrzyłam za nim, a w głowie mi szumiało od myśli. W pewnym sensie Danny miał rację. Cóż to za głupota siedzieć i czekać, aż Scott wytłumaczy się ze swojego zachowania na imprezie. Już raz do niego zadzwoniłam, dlaczego tego nie powtórzyć? Postanowiłam jednak odczekać jeszcze dzień; cały czas łudziłam się nadzieją, że to on zrobi pierwszy krok.

Ale nie odezwał się w poniedziałek, a we wtorek wieczorem zadzwoniła tylko Brenda pytając, czy zagram w tenisa w parku miejskim.

- Nie mogę. Muszę zadzwonić do Scotta i zapytać go prosto z mostu, co jest grane - wyznałam szczerze. - To może być moja ostatnia szansa wyjaśnienia tej sytuacji.

- Dobrze, ale wątpię, czy go zastaniesz w domu - rzuciła Brenda. - Wczoraj Norris wspomniał, że muszą zrobić ostatnie zakupy przed wyprawą. Może byś poszła ze mną do parku i zatelefonowała po powrocie?

- Hmm... Z przyjemnością, ale najpierw przynajmniej spróbuję go złapać. Wiesz co... Jeśli go nie będzie, zaraz do ciebie oddzwonię.

- Dobrze. Ale zadzwoń też, gdybyś się z nim dogadała. Konam z ciekawości!

Upłynęło trochę czasu, nim zebrałam się na odwagę i wykręciłam numer Tysonów. Wstrzymywałam oddech, gdy telefon w ich domu dzwonił i dzwonił. Po dziesięciu sygnałach dalej nikt nie odbierał. Odkładając słuchawkę, czułam ulgę pomieszaną z rozczarowaniem. Potem skontaktowałam się z Brendą, poprosiłam, żeby była u mnie za piętnaście minut, i przebrałam się w strój do tenisa. Miałam nadzieję, że ruch dobrze mi zrobi. Dzięki temu, gdy znów zadzwonię do Scotta, będę myśleć jaśniej i mniej się denerwować.

W drodze do parku z wdzięcznością słuchałam paplaniny przyjaciółki. Przynajmniej przez parę minut nie myślałam o własnych problemach.

- Mam nadzieję, że znajdziemy wolny kort - powiedziała, skręcając z ulicy Cedrowej na wąski parking, który ciągnął się wzdłuż południowej granicy parku, tuż przy kortach tenisowych. - Jeśli nie, to możemy pojechać do szkoły.

Zabierając rakiety i puszkę z piłkami, wysiadłyśmy z samochodu. Wszystkie miejsca były zajęte, ale dwie kobiety właśnie skończyły grę na drugim korcie od lewej i szykowały się do wyjścia.

- Mamy szczęście - stwierdziła Brenda. - Pośpieszmy się, bo ktoś nam zajmie miejsce!

I gdy ruszyłyśmy szybkim krokiem w stronę bramy wejściowej, zobaczyłam, że ulicą wolno sunie brązowy, poobijany sedan. Niemal skręciłam sobie kark, obracając głowę, a serce zaczęło mi walić jak młotem.

- Bren! - zawołałam. - Widzisz ten samochód? To chyba Norrisa!

- Oczywiście, że tak - potwierdziła. - W całym mieście nie ma drugiego takiego gruchota. W takim razie siedzą w nim Norris i Scott.

- Może też nas zobaczyli - łudziłam się nadzieją. Może się zatrzymają i...

Ale najwyraźniej nas nie dostrzegli, bo po chwili samochód zniknął za zakrętem.

- No cóż - westchnęłam. - Widać mają jeszcze mnóstwo rzeczy do załatwienia.

Pognałyśmy na wolny kort, bijąc o włos parę w naszym wieku, która też sobie na niego ostrzyła zęby.

- Najpierw solidna rozgrzewka - zarządziła Brenda. - Nie wiem jak ty, ale ja nie grałam od stu lat i nie chcę sobie naciągnąć mięśnia albo zafundować jakiejś innej kontuzji.

Gdy zaczęłyśmy się wyciągać i ćwiczyć skłony, natychmiast przypomniał mi się set, którego grałam ze Scottem po urodzinach Danny'ego. I właśnie wtedy zobaczyłam, jak obok samochodu Brendy zatrzymuje się gruchot Norrisa, z którego wysiada dwóch chłopców. Zatkało mnie z miejsca, bo uświadomiłam sobie, że okazja rozmowy ze Scottem trafia mi się szybciej, niż myślałam. Chłopcy już do nas podchodzili.

- Wiedziałem, że wcześniej czy później dopadnę te nieuchwytne damy! - zawołał Norris. - Nie zauważyliśmy was, kiedy wcześniej tędy przejeżdżaliśmy.

- Skąd wiedziałeś, gdzie nas znaleźć? - spytała roz-promieniona Brenda.

- To proste, drogi Watsonie - rzucił dumnie Norris.

- Zajrzeliśmy do domu Tralain i jej mama powiedziała nam, że wybrałyście się tutaj na tenisa.

Norris się uśmiechał, ale Scott był bardzo poważny.

- Zabraliście rakiety? - spytałam nerwowo. - Moglibyśmy zagrać debla.

Norris ukradkiem zerknął na przyjaciela.

- Nie, nie mamy szczególnej ochoty na grę. - Zwracając się do Brendy, dodał: - Może byś się zgodziła odłożyć mecz i na przykład gdzieś ze mną pojechać?

- A ja bym pospacerował z Tralain - rzucił Scott.

- Ja się zgadzam - pośpieszyła z odpowiedzią Brenda.

- Będziemy miały mnóstwo czasu na tenisa, kiedy obaj wypłyniecie na dalekie morza.

- A ty, Tralain? - zapytał Scott.

- Jasne, tylko pochowam swoje rzeczy.

Chłopcy poszli z nami do samochodu Brendy i poczekali, aż zapakujemy rakiety i piłki. Ustaliliśmy, że spotkamy się tutaj za pół godziny. Brenda i Norris odjechali jego samochodem, a ja ze Scottem ruszyliśmy spacerem przez park.

Na trawie porozsiadały się rodziny, które urządziły sobie piknik; wesołe, rozkrzyczane dzieciaki bawiły się na zjeżdżalniach i huśtawkach. Wiele par spacerowało, trzymając się za ręce, ale Scott nie sięgnął po moją dłoń i unikał patrzenia mi w oczy. Miałam wrażenie, że jest równie napięty jak ja; wymienialiśmy błahe uwagi o pogodzie, jego wyjeździe, grze w tenisa, unikając rozmowy na temat, który interesował nas naprawdę.

Wreszcie poczułam, że nie wytrzymam ani chwili dłużej. Zatrzymałam się pod starym, wysokim drzewem o rozłożystej koronie. Położyłam dłoń na ramieniu Scotta.

- Dlaczego musiałeś tak nagle wyjechać z imprezy Moniki? - spytałam.

Dopiero wtedy na mnie spojrzał, a w jego oczach było tyle smutku, że aż zadrżałam.

- Przepraszam, Tralain. To jeden z powodów, dla których chciałem z tobą porozmawiać. Żeby cię za to przeprosić.

Zachowałem się fatalnie.

Już otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale mi nie pozwolił.

- I nie mów, że nic się nie stało, bo to nieprawda. Jeśli mielibyśmy nadal się spotykać, to znów mogłoby dojść do takiej sytuacji.

- Co ma oznaczać to zdanie: „Jeśli mielibyśmy nadal się spotykać...”?

- Posłuchaj, Tralain... - zaczął. Widziałam, że z wysiłkiem przełyka ślinę. - Nic z tego nie będzie. Nie pasujemy do siebie. Właśnie próbuję ci powiedzieć, że... no wiesz... Nie będę się już z tobą umawiał.

Nagle zabrakło mi powietrza i poczułam, jakbym się dusiła.

- Ale dlaczego? - wykrztusiłam z trudem. - Jak możesz coś takiego mówić? Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczysz... Właśnie że świetnie do siebie pasujemy! - krzyknęłam. - A byłoby jeszcze lepiej, gdybyś pozwolił sobie pomóc!

- Pomóc? - powtórzył, marszcząc brwi. - Nie rozumiem. W czym miałabyś mi pomagać?

- Pamiętasz naszą wycieczkę nad ocean? Kiedy szukałam szkła kontaktowego na podłodze w samochodzie twojej mamy... Znalazłam coś jeszcze... - Zbierając siły głęboko zaczerpnęłam powietrza i dokończyłam spokojniej: - Pod siedzeniem zobaczyłam garść rozsypanych, białych tabletek.

Twarz Scotta pobielała niczym koszulka, którą miał na sobie.

- Słyszałam o tobie różne rzeczy - mówiłam gorączkowym, ledwie słyszalnym szeptem. - Niektórzy ludzie twierdzą, że ćpasz. Nie chciałam im wierzyć... Nie wierzyłam im, ale potem zobaczyłam te tabletki... Miałam nadzieję... Nadal mam nadzieję, że to lekarstwo twojej matki, jakaś aspiryna czy coś w tym rodzaju. Ale jeśli to coś innego, amfa... - Mocniej zacisnęłam dłoń na jego ramieniu. - Możesz mi ufać. Nie plotkuję, jak inne dziewczyny. Proszę, powiedz mi prawdę. Bierzesz narkotyki? Bo jeśli nawet tak jest, to nie zmieni moich uczuć do ciebie. Znajdziemy kogoś, kto ci pomoże, lekarza, terapeutę...

Scott patrzył mi prosto w oczy. Miałam wrażenie, że minęła cała wieczność. A potem delikatnie się odsunął.

- Przykro mi, Tralain, ale nie mogę pozwolić, byś się w to mieszała. Muszę sam poradzić sobie z własnymi problemami. Po swojemu. Powtórzę to, co już wcześniej mówiłem: z nami koniec. Zapomnij o mnie i znajdź sobie innego chłopca.

I obróciwszy się na pięcie, ruszył w stronę kortów tenisowych.

- Scott! Poczekaj! - zawołałam. - Proszę, nie rób mi tego!

Ale on nie poczekał. Tylko coraz bardziej przyśpieszał kroku.

ROZDZIAŁ 12

Jakimś cudem się opanowałam i poszłam za Scottem na parking. Na szczęście kiedy tam dotarłam, już odjechał z Norrisem. Brenda czekała na mnie w swoim samochodzie. Gdy tylko usiadłam obok niej, rozpłakałam się i łkając powtórzyłam jej całą, okropną rozmowę ze Scottem. Płakałam tak długo, że w końcu zabrakło mi łez.

- I tylko tyle miał do powiedzenia? - spytała zdumiona Brenda. - Scott z tobą zrywa i nawet ci nie mówi, czy ćpa, czy nie?

Potaknęłam głową.

- Och Bren, to było okropne! Wyznałam mu, co do niego czuję, błagałam, żeby mi powiedział prawdę, ale miałam wrażenie, jakbym mówiła do ściany. Na koniec poradził mi, żebym o nim zapomniała i znalazła sobie innego chłopaka. I po prostu odszedł. Brenda milczała przez chwilę.

- Posłuchaj, Tralain - odezwała się w końcu. - Wiem, że ci się nie spodoba to, co powiem, ale i tak to zrobię. Bez względu na to, na czym polega wielka tajemnica Scotta, skoro nie chce się nią z tobą podzielić, to nic na to nie poradzisz. Idź za jego radą. Zapomnij o nim. To nie będzie łatwe, ale musisz chociaż spróbować.

Teraz ja milczałam. Cóż miałam odpowiedzieć? Scott porzucił mnie, nie podając sensowego powodu, zupełnie tak samo rozstał się z Shelly, dziewczyną z jego dawnej szkoły. Brenda miała rację: nieważne, jak bardzo kochani Scotta. Jeśli nie ufa mi na tyle, by zdobyć się wobec mnie na uczciwość, to nasz związek nie ma przyszłości.

Brenda jeździła bez celu po mieście, a kiedy moje zapuchnięte od płaczu oczy zaczęły wyglądać trochę lepiej, zawiozła mnie pod dom. Byłam tak wykończona emocjonalnie, że z trudem znalazłam siły, by wyjść z samochodu.

- Zabiorę cię rano - zaproponowała Bren, gdy otwierałam drzwi.

- Nie sądzę, żebym się na tyle pozbierała, żeby jutro pracować - wyznałam zmęczonym tonem. - Może lepiej powiedz panu Carsonowi, że zachorowałam.

- O, nic z tego! - Brenda popatrzyła na mnie groźnie. - Wiem, że strasznie się czujesz, ale do końca obozu zostały tylko trzy dni. Musisz się pozbierać ze względu na dzieciaki.

- Bren, proszę...

- I codziennie po zakończeniu zajęć, czy ci się to podoba, czy nie, będziemy coś razem robiły, żebyś nie miała czasu na użalanie się nad sobą - ciągnęła, ignorując moje błaganie. - Pamiętaj, że ja też potrzebuję rozrywek, bo tęsknię za Norrisem. Na początek jutro zagramy w tenisa, skoro dziś nam się nie udało. W czwartek będziemy łazić po sklepach, a w piątek... Nie umiem zaplanować tak daleko naprzód, ale na pewno coś wymyślę.

- Wygląda na to, że nie mam wyboru, co? - Zmusiłam się do uśmiechu.

- Żadnego - rzuciła pogodnie Brenda. - A teraz postaraj się wyspać. Jutro rano powitasz mnie wesoła jak szczygiełek.

W nocy prawie nie zmrużyłam oka, ale rano zwlokłam się jakoś z łóżka i już czekałam przed domem, kiedy Brenda po mnie przyjechała. Przez cały dzień chodziłam, mówiłam, wykonywałam swoje obowiązki, ale nie wkładałam w to serca. Nazajutrz było podobnie. Choć starałam się z całych sił, ani na chwilę nie umiałam zapomnieć o Ty - sonie. Danny tak bardzo przypomniał brata, że ile razy na niego spojrzałam, byłam bliska łez.

W piątek, ostatniego dnia obozu, Danny przywiózł do Radosnej Polany swojego królika. Wszyscy byli zachwyceni, kiedy wyjął Oskara z klatki, pozwolił głaskać miękkie futerko i karmić zwierzaka kawałkami marchewki. Od czasu wyjazdu Scotta Danny chodził przygaszony, ale dziś w jego błękitnych oczach znów pojawiły się iskierki radości i widziałam, jak się cieszył, że znów jest w centrum zainteresowania.

Kiedy Oskar na powrót znalazł się w klatce, dzieci wróciły do swoich zajęć. Zaczęły przygotowywać uroczyste zakończenie obozu, na które miał się składać wieczorny posiłek przy ognisku,

ceremonia Ogniska Wielkiej Rady, a przede wszystkim wodowanie „łodzi marzeń” każdego z uczestników.

Gwiezdni Wojownicy spędzili większość popołudnia pod moją opieką, robiąc łódeczki z kory, ozdabiając je mchem i maleńkimi, leśnymi kwiatami; w każdej umieścili niewielką świecę. O zmierzchu zaniosą te „łodzie” nad strumień, zapalą świece, a potem każde z nich pomyśli marzenie i puści swój okręcik na wodę.

Pracując z maluchami myślałam, że Brenda znów miała rację. Chociaż byłam bardzo przygnębiona, to dzięki ciągłym zajęciom nie popadłam w zupełną depresję i dzień szybko mi minął. Kiedy już wszyscy zjedli przysmaki upieczone przy ognisku, opiekunowie i pomocnicy ustawili dzieci w dwuszereg i w zapadającym zmroku zaprowadzili ścieżką nad strumień. Po drodze śpiewaliśmy obozowe piosenki, których wspólnie uczyliśmy się w ciągu tych czterech tygodni.

Idąc, z całych sił zagryzałam wargi i mrugałam, by powstrzymać łzy, bo znów pomyślałam o Tysonie. Gdzie on teraz jest? Pewnie daleko stąd, na oceanie. Czy myśli o mnie czasem? A może już zapomniał? Przecież tak mi właśnie radził...

Kiedy znaleźliśmy się na brzegu strumienia, razem z innymi opiekunami zdjęłam buty, skarpetki i weszłam do wody. Dzieci po kolei podawały nam swoje łódki, a my zapalaliśmy świeczki i delikatnie kładliśmy okręciki na falach. W dole strumienia stało dwóch innych opiekunów;

wyławiali łódki i oddawali dzieciom, żeby każde miało pamiątkę z obozu.

Moja łódka została puszczona na wodę po okręcikach wszystkich chłopców i kiedy patrzyłam, jak odpływa, a świeczka odważnie migocze w ciemnościach, w duchu wypowiedziałam marzenie: „Chciałabym cofnąć wskazówki zegara, żeby wtorkowy wieczór nigdy się nie zdarzył. Nadal miałabym dość czasu na widywanie się ze Scottem; dość czasu, by dowiedzieć się prawdy, przekonać go, by mi zaufał, i pomóc mu, jeśliby tego potrzebował”.

Niestety - w przeciwieństwie do stojących wokół dzieci - wiedziałam, że moje marzenie się nie spełni.

Po paru nastrojowych piosenkach ruszyliśmy do obozu na Ognisko Wielkiej Rady. W powietrzu unosiła się już ostra woń płonących polan. Gdy wyszliśmy z lasu, szybko policzyłam głowy moich chłopców, by się upewnić, czy Gwiezdni Wojownicy są w komplecie.

Jednego brakowało! Nie było Danny'ego!

Przerażona, zwróciłam się do idącej obok mnie Moniki.

- Zaprowadź moją grupę do obozu. Muszę poszukać Danny'ego, gdzieś zniknął!

- Chyba żartujesz! - zawołała. - Myślałam, że już mu przeszło. Potrzebujesz pomocy?

- Jeszcze nie. Po prostu miej oko na moje dzieciaki. Pójdę sprawdzić w budynku, może wymknął się wcześniej, żeby zajrzeć do królika.

Pobiegłam przez łąkę i wpadłam do budynku. Klatka Oskara wprawdzie stała na swoim miejscu, ale drzwiczki były otwarte na oścież i ani śladu królika. Czy Oskar uciekł? A może Danny go gdzieś zabrał?

Zajrzałam do biura pana Carsona, ale było puste. Chwyciłam latarkę leżącą na zarzuconym papierami biurku i wypadłam na zewnątrz.

- Danny! - zawołałam przejęta. - Danny! Gdzie jesteś? Odpowiedziało mi milczenie. Wtem między drzewami mignęło coś białego i kiedy skierowałam w to miejsce strumień światła, zobaczyłam Oskara. Królik zamarł bez ruchu, wpatrując się w źródło blasku, więc szybko go podniosłam z ziemi i zabrałam do budynku. Trochę się natrudziłam przy zamykaniu klatki, a kiedy wreszcie mi się to udało i wybiegłam na zewnątrz, wpadłam prosto na pana Carsona.

- Tralain, czemu nie jesteś ze swoją grupą? - spytał. - Coś się stało?

- Danny znów gdzieś zniknął - wyrzuciłam z siebie zdyszana. - Myślałam, że może przyszedł tutaj zajrzeć do królika, ale nie

było ani jednego, ani drugiego. Oskara przed chwilą znalazłam, ale nigdzie nie widać Danny'ego!

- W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak odłożyć Ognisko Wielkiej Rady - powiedział spokojnie. Wiedziałam, że się martwi, ale nie okazywał paniki. Był jak zwykle zdecydowany i stanowczy. - Powiem Irene, żeby przyprowadziła wszystkie dzieci do budynku i spytam, czy ktoś widział chłopca. A ty zbierz pomocników i przeszukajcie najbliższą okolicę. Jeśli w ciągu pół godziny Danny się nie znajdzie, zawiadomię szeryfa o jego zaginięciu.

Brenda, Monika, Greg i ja szukaliśmy Danny'ego wytężając wszystkie siły, ale bez rezultatu. Żadne z dzieci też nie wiedziało, gdzie mógł się podziać. Następne godziny upłynęły niczym w koszmarnym śnie. Najpierw rodzice zabrali uczestników obozu, a potem strażacy, policjanci, harcerze, a nawet ochotnicy z miasta razem z pracownikami obozu metr po metrze przeczesywali teren Radosnej Polany i pobliskie zarośla. Pan Carson zadzwonił do rodziców Danny'ego. Pana Tysona nie zastał, za to pani Tyson przyjechała natychmiast. Kiedy zerknęłam do gabinetu kierownika, widziałam, jak nerwowym krokiem przemierza pokój. Na jej pobladłej twarzy malowało się napięcie i lęk.

Po dłuższym czasie Brenda, Monika i większość opiekunów, zmęczeni bezskutecznymi poszukiwaniami, wrócili do domów. Też byłam wykończona, ale nic by mnie nie zmusiło do wyjazdu. Czułam się osobiście odpowiedzialna za Danny'ego. Zadzwoniłam do rodziców, żeby im powiedzieć, co się wydarzyło. Obiecałam, że ktoś mnie podrzuci do domu, gdy tylko odkryjemy, co się stało z chłopcem. Ku mej wielkiej uldze, nie upierali się, że po mnie przyjadą, więc wróciłam do poszukiwań, modląc się w duchu: „Proszę, niech mu się nic nie stanie. Błagam!”

Nie wiem, która była godzina, kiedy wreszcie przywlokłam się do budynku na krótki odpoczynek i kubek kawy, przygotowanej przez Irene. Chociaż piłam gorący napój, w środku nadal czułam lodowatą kulę niepokoju. Opadły mnie czarne myśli. A jeśli Danny wpadł do strumienia i uderzył się w głowę? A

jeśli... Nie, nie powinnam nawet o tym myśleć!

Skrzypnęły drzwi. Myślałam, że to ktoś z ekipy poszukiwawczej wpadł na kawę, gdy wtem rozległ się znajomy głos:

- Tralain, to ty?

Odwróciłam się błyskawicznie i stanęłam twarzą w twarz z przejętym Scottem. Ze zdumienia odebrało mi głos. Czyżby mylił mnie wzrok? Może ze zmęczenia mam już halucynacje!

- To ja, Scott. Dziwisz się, że tu jestem? Przed wyjazdem dałem mamie pobieżny plan wyprawy. Wiedziała, którego dnia zamierzamy zawijać do kolejnych portów. Gdy dziś wieczorem weszliśmy do zatoki Yaquina, w kapitanacie czekała na mnie wiadomość, że Danny zniknął - wyjaśnił. - Norris przywiózł mnie tu najszybciej, jak mógł. Jest w gabinecie pana Carsona, rozmawia z mamą. Co się stało? Macie jakieś nowe informacje?

- Zupełnie nic - wykrztusiłam z trudem.

- No to chodź, róbmy coś. Cokolwiek - powiedział, ruszając do drzwi. - Musimy znaleźć mojego brata!

Chwyciłam latarkę i wybiegłam za nim.

- Ale jak? Szeryf, policja i cały ten tłum ludzi szukają od wielu godzin, a nie trafili nawet na najmniejszy ślad.

- Tak, ale nie znają Danny'ego tak dobrze jak ja. Sprawdzili w strumieniu?

- Oczywiście, tam poszliśmy na samym początku.

- No to zajrzymy jeszcze raz. Gdzie jest najkrótsza droga? "

- Idź za mną - rzuciłam, biegnąc na przełaj. Pomknęłam przez polanę, a potem ścieżką wiodącą do strumienia. Scott szybko mnie dogonił.

- Może to głupio zabrzmi - wysapał - ale chyba wiem, co sobie myśli Danny. Dziadek opowiadał nam historie ze swego dzieciństwa, a jedna z nich mówiła o tym, jak zginął w lesie. Zagubił się na amen i przez dwa dni szedł wzdłuż strumienia, nim wreszcie trafił do jakiejś farmy. To była ulubiona opowieść Danny'ego. Założę się, że zrobi dokładnie to samo co dziadek.

- Na pewno nie - zaprotestowałam, próbując nie zwracać uwagi na przejmujący ból serca. - Czego innego uczyliśmy

chłopców w Radosnej Polanie. Mówiliśmy im, żeby w takiej sytuacji nie ruszali się z miejsca ani na krok. Jeszcze w zeszłym tygodniu tłumaczyłam mojej grupie, że jeśli się zgubią, to mają się zatrzymać, objąć pień drzewa i czekać, aż nadejdzie pomoc.

- Objąć pień? Po co? - W głosie Scotta brzmiało niedowierzanie. - Może to i skuteczne. Ale znam mojego młodszego brata i wiem, że jeśli się przestraszy, to pewnie najpierw przypomni sobie opowieść dziadka.

Dotarliśmy właśnie na brzeg strumienia i gdy szliśmy w dół biegu, wykrzykując imię Danny'ego, przypomniałam sobie, czego pragnęłam, wodując moją „łódkę marzeń". Część marzenia się spełniła: chciałam znów spędzać czas ze Scottem, i proszę: zjawił się przy mnie. Tylko dlaczego musiał przyjechać z tak przykrego powodu!

- Danny! - zawołał Scott. - Danny! Słyszysz mnie? Też zaczęłam wołać.

- Danny! Gdzie jesteś? Danny, to Scott i Tralain! Odpowiedziało nam milczenie.

Szliśmy dalej, wołając na zmianę. Wydawało mi się, że upłynęły całe godziny. Nagle Scott stanął jak wryty i złapał mnie za ramię.

- Posłuchaj! Chyba ktoś krzyczy!

Wytężyłam słuch, ale na początku do moich uszu dobiegało tylko żałosne wycie kojota gdzieś na wzgórzach.

Potem usłyszałam coś jeszcze: słabe wołanie, które rozlegało się znacznie bliżej nas.

- Na pomoc... na pomoc...

Rzuciliśmy się w kierunku, skąd dochodził ten dźwięk, przedzierając się przez zarośla porastające brzeg strumienia. Omiatałam drogę przed sobą snopem światła latarki i nagle w jasnym kole pojawiła się grupa olch i skulona sylwetka chłopca, obejmującego mocno pień drzewa.

ROZDZIAŁ 13

Danny wydał głośny okrzyk i rzucił się prosto w moje otwarte ramiona. W chwilę później poczułam, jak obejmują nas silne ręce Scotta i trzymają mocno w serdecznym uścisku.

- Strasznie się cieszę, że cię znalazłem! - powiedział Scott ochrypłym ze wzruszenia głosem.

- Nic ci się nie stało? - spytałam, odgarniając zmierzwioną grzywkę z czoła Danny'ego.

- Nie, tylko się bałem, bo było tak ciemno. - Danny skulił się i zaczął płakać. - Nie mogłem znaleźć Oskara i myślałem, że mnie też nie znajdziecie! - Podniósł wzrok na brata. - Scott, posłuchaj, Oskar uciekł! - Zatkał. - Po tym, jak puściliśmy na wodę nasze „łódki marzeń", wróciłem sprawdzić, czy dobrze się czuje, ale jego nie było!

Szukałem wszędzie i nigdzie go nie mogłem znaleźć. Jeśli go pożarło jakieś dzikie zwierzę w lesie, to będzie moja wina, bo nie zamknąłem porządnie klatki!

- Danny, posłuchaj - zaczęłam delikatnie. - Nie płacz. Oskarowi nic się nie stało. Znalazłam go w pobliżu budynku, czeka na ciebie w klatce cały i zdrowy.

Łzy przestały płynąć z oczu chłopca, jakby ktoś zakręcił kran, i na jego twarz powrócił szeroki uśmiech.

- Naprawdę? Słowo? Potaknęłam.

- Och Tralain! Uratowałaś Oskara! - Objął mnie wpół i uścisnął z całych sił. - Jesteś bohaterką!

- A z ciebie jest prawdziwy obozowicz - rzucił Scott i czułym ruchem potargał włosy brata. - Pamiętałeś, co mówiła Tralain o zachowaniu w lesie, jeśli byś się zgubił. Że masz zostać na miejscu. Jestem z ciebie dumny.

- Dzięki! - Danny rozpromienił się; spojrzał na brata pytająco. - Hej, a co ty tu robisz? Miałeś być na łodzi rybackiej!

- Później ci wszystko opowiem, a na razie wracajmy do obozu. Oskar na ciebie czeka, a poza nim jeszcze cały tłum ludzi z mamą na czele.

Wziął Danny'ego za rękę, ja ujęłam drugą i tak, ramię w ramię, troje szczęśliwych ludzi, powędrowaliśmy z powrotem brzegiem strumienia. W drodze chłopczyk opowiadał nam szczegółowo, jak się zgubił, poszukując królika.

- Nie mogłem go znaleźć koło budynku, więc zacząłem szukać w lesie. Myślałem, że wiem, gdzie jestem, bo Tralain często nas tam zabierała na wyprawy, ale nigdy po zmroku. Nagle pośliznąłem się i niemal wpadłem do wody, a wtedy przypomniałem sobie opowieść dziadziusia o zgubieniu w puszczy, więc poszedłem wzdłuż strumienia. Szedłem tak i szedłem, chyba ze sto mil, ale nadal byłem zgubiony i wtedy przypomniałem sobie, co ty nam mówiłaś, Tralain, żeby objąć drzewo. I tak właśnie zrobiłem.

W tym momencie potknął się o wystający korzeń i byłby upadł, gdybyśmy go ze Scottem nie podtrzymali.

- Możemy na chwilę usiąść? - poprosił znużonym głosem. - Jestem okropnie zmęczony.

- Już niedaleko - zapewnił go Scott, ale widząc, że Danny nie rusza się z miejsca, zaproponował: - Wiesz co? Wezmę cię na barana i poniosę. Będziesz podróżował jak król. Dobrze?

Mały w odpowiedzi tylko skinął głową. Scott przykucnął i gdy brat wdrapał mu się na plecy, ruszyliśmy dalej, ja z latarką przodem, oświetlając drogę. Byłam tak zmęczona, że z trudem stawiałam krok za krokiem, ale serce aż śpiewało we mnie z radości, że znaleźliśmy Danny'ego i nic mu się nie stało.

Miałam wrażenie, że wieki całe szliśmy przez las, nim dotarliśmy do obozu. Powitał nas rozpromieniony pan Carson.

- Bogu dzięki! - zawołał z westchnieniem ulgi, po czym wybiegł uderzyć w dzwon i w ten sposób zawiadomić wszystkich o zakończeniu poszukiwań.

- Brawo! Jest Danny! - ucieszył się Norris.

Pani Tyson wydała okrzyk radości, a doktor Tyson, który przyjechał podczas naszej nieobecności, delikatnie zdjął śpiącego chłopca z pleców Scotta. I gdy rozbudzony Danny biegł do matki, doktor na moment, trochę nieporadnie, objął starszego syna.

- Świetnie się spisałeś, synu - rzekł.

Scott tylko wzruszył ramionami; wyglądał na zmieszanego i skrępowanego.

Wkrótce otoczył nas tłum ludzi, którzy jednocześnie śmiali się, płakali i mówili, przekrzykując się nawzajem. Wreszcie wszystko się uspokoiło. Ostatni uczestnicy akcji poszukiwawczej rozjechali się do domów, a tuż za nimi opuścił obóz doktor Tyson.

Uszczęśliwiony Danny tulił w objęciach Oskara, gdy pani Tyson zwróciła się do starszego syna.

- Scott, zabieram Danny'ego do domu. Jesteście gotowi z Tralain?

Scott spojrzał na mnie.

- Możesz jeszcze zostać parę minut? Musimy porozmawiać - powiedział cichym głosem. - Norris nas potem odwiezie.

Byłam półprzytomna ze zmęczenia i kręciło mi się w głowie, ale potaknęłam bez słowa.

Scott zerknął na przyjaciela, który siedział skulony na krześle za biurkiem pana Carsona.

- Zgadzasz się? Zaczekasz na nas? - spytał.

- Nie ma sprawy - odparł Norris i układając się wygodniej na blacie biurka, dodał sennym głosem: - Tylko obudźcie mnie, kiedy już będziecie chcieli ruszać.

Kiedy pani Tyson odjechała z Dannym, Scott spojrzał na mnie.

- Tralain, poszukajmy jakiegoś miejsca na zewnątrz. Szłam za nim z mieszanymi uczuciami, cała spocona ze zdenerwowania. O czym chce ze mną rozmawiać? Czyżby zmienił zdanie i mimo wszystko postanowił odpowiedzieć na moje pytania?

Przysiedliśmy na pniu, nieopodal kręgu z kamieni, gdzie zwykle rozpalano ogniska. W milczeniu patrzyliśmy na nikłe płomyki i kilka żarzących się głowni. Ponieważ najwyraźniej Scottowi nie śpieszyło się do wyznań, odezwałam się pierwsza.

- Jutro pewnie ruszacie z Norrisem?

- Tak, jego wuj czeka na nas w zatoce Yaquina. I znów milczał dłuższą chwilę, nim się odezwał.

- Dużo o tobie myślałem, Tralain. Serce szybciej zabiło mi w piersiach.

- Też o tobie myślałam - wyznałam. - Zastanawiałam się, martwiłam i w kółko zadawałam sobie pytania. Omal od tego nie oszalałam!

- Przepraszam. - Scott westchnął. - We wtorek wieczorem zachowałem się jak koncertowy idiota. Gdy jechałem tu dzisiaj, przez cały czas sobie powtarzałem, że będę musiał stanąć z tobą twarzą w twarz, i próbowałem zdecydować, co zrobić. - Przeniósł spojrzenie z żarzących się głowni na mnie, ale w nikłym, pełgającym blasku nie potrafiłam odczytać wyrazu jego oczu. - Miałem zamiar konsekwentnie trzymać się decyzji, że już nie będziemy się widywać, ale kiedy szukaliśmy Danny'ego, zdałem sobie sprawę, że jesteś dla mnie kimś wyjątkowym. Nie chcę się z tobą rozstawać, Tralain.

- Och, Scott - wyszeptałam i wyciągnęłam rękę, by uścisnąć jego dłoń. - Tak się cieszę! Ja też chcę być z tobą!

- Możesz zmienić zdanie, jak usłyszysz całą resztę.

Po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz strachu. Gotowa na najgorsze, kurczowo ścisnęłam jego dłoń.

- No dobrze, walę prosto z mostu - zaczął Scott. - Jak sądzę, już dawno dotarły do ciebie plotki na mój temat. Pewnie już wszyscy je słyszeli... - Z trudem przełknął ślinę. - Sadziłem, że po przeprowadzce z Seaside uda mi się od nich uciec, ale bardzo się myliłem. Chciałem ci powiedzieć prawdę, Tralain, ale... no cóż, po prostu strach mnie obleciał.

- I jaka jest ta prawda? - dopytywałam się gorączkowo.

- Wyszedłem tak nagle z imprezy Moniki, bo wiedziałem, że szykują się kłopoty. Czułem się tak samo, jak tego dnia, kiedy niemal utonąłem w czasie nurkowania, jeszcze w Seaside... Od wielu godzin bolała mnie głowa i kiedy wskoczyłem do basenu, ból jeszcze się nasilił. Zupełnie tak samo, jak tuż przed atakiem. - Urwał na moment. - Tralain, jestem chory na epilepsję.

- Epilepsję! - powtórzyłam zdumiona. - Ale dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

- Nie mogłem. Powiedziałem Norrisowi, ale nie chciałem, żeby ktokolwiek inny wiedział, na przykład ludzie w szkole, a zwłaszcza ty. Nie wiesz, jak to jest, kiedy inni usłyszą o epilepsji! Traktują cię jak dziwadło, bez przerwy obserwują, czekają, aż zaczniesz toczyć pianę z ust, zupełnie jak wściekły pies! To wygląda zupełnie inaczej, ale większość ludzi nie wie, że dzięki lekom można zapanować nad atakami tej choroby.

Zaczerpnął głęboko powietrza, żeby się uspokoić, i tak mocno ścisnął moją rękę, że aż zabolało.

- Zanim spotkałem ciebie, nigdy nie pozwoliłem sobie na poważniejszy związek z dziewczyną, bo się panicznie bałem. Co się stanie, jeśli pozna prawdę? Będzie się mnie brzydzić? Dlatego zawsze odchodziłem wcześniej, zanim one zdążyły mnie porzucić.

A więc z tego powodu ze mną zerwał! Wcale nie dlatego, że mu na mnie nie zależało!

- Te pigułki, które znalazłaś w samochodzie, zapisał mi doktor Rossetti, mój neurolog - ciągnął. - Pewnie nie zakręciłem porządnie fiolki i parę się rozsypało. Jeśli nadal chcesz wiedzieć, czy coś biorę, to uczciwa odpowiedź brzmi: „tak”. Pewnie będę musiał to robić do końca życia.

- Och, Scott. - Poczułam tak wielką ulgę, że aż mi się zrobiło słabo. - Tak się cieszę, że się pomyliłam i że nie jesteś narkomanem.

- Cieszysz się? - Patrzył na mnie zdumiony. - Nie brzydzisz się mnie ani mną nie pogardzasz?

- Co za bzdury! - zawołałam. - Czy ty masz pojęcie, jak się przeraziłam, gdy znalazłam te tabletki? A kiedy się dowiedziałam, że znów straciłeś prawo jazdy, byłam pewna, że plotki o tobie to prawda!

- Ostatnio mój lekarz miał kłopot ze znalezieniem właściwego lekarstwa, stąd te problemy z prawem jazdy - wyjaśnił Scott. - Po raz pierwszy odebrano mi je na rok, bo doktor Rossetti musiał zawiadomić wydział komunikacji, że znów mam ataki. Dopiero po wielu próbach znalazł lek, który świetnie skutkował, więc wypisał mi zaświadczenie, że mogę prowadzić. Ale to się

szybko skończyło. - Zgarbił się. - Ataki znów się zaczęły i wróciłem do punktu wyjścia - ciągnął patrząc mi prosto w oczy. - Wierz mi, Tralain, kiedyś będzie ze mną lepiej. Wcześniej czy później doktor Rossetti znajdzie właściwy lek, na dobre poradzę sobie z atakami, będę zabierał cię na randki własnym samochodem. Nie będziemy musieli polegać na Norrisie czy innych. - Urwał, po czym dodał nerwowo: - Oczywiście, jeśli zgodzisz się czekać razem ze mną.

- Też pytanie! Jasne, że tak! - zawołałam. - Będę czekała do skutku.

Scott przyciągnął mnie do siebie i wtulił policzek w moje włosy.

- Dzięki, Tralain. Wiedziałem, że jesteś wyjątkowa! Jedna na milion! - Odsunął się nieco i poważnie spojrzał mi w oczy. - Ale chcę, żebyś mi obiecała jedną rzecz.

- Co tylko zechcesz - wymruczałam.

- Teraz, kiedy już wiesz, na czym polega mój problem, nie matkuj mi, nie otaczaj nadmierną opieką. Wiem, że czasem przesadzam, starając się udowodnić, że jestem taki, jak wszyscy, ale to wina moich rodziców. Traktowali mnie, jakbym był zrobiony ze szkła. Mama już jest w porządku, ale tata nadal robi dużo szumu, i to mnie maksymalnie wkurza.

Obiecuję - powiedziałam. - A z ojcem powinieneś zwyczajnie porozmawiać. Wyjaśnić mu, co czujesz. Założę się, że da ci spokój. Widziałam, jak mu dziś zaimponowałeś, kiedy odnalazłeś Danny'ego.

- Może i spróbuję. - Scott uśmiechnął się. - Ale teraz mam do zrobienia coś znacznie ważniejszego.

Pochylił się i nasze usta spotkały się w długim, delikatnym pocałunku.

- Kocham cię, Tralain - powiedział, gdy wreszcie odsunęliśmy się od siebie.

- Ja też cię kocham - wyszeptałam i gdy znów się pocałowaliśmy, wiedziałam na pewno, że mamy szansę na wspólną przyszłość.